

ALEKSANDER POSTOŁOW

O WYBORZE SŁÓW KILKA

W czasie jednej z wakacyjnych wędrowek, zmęczony i głodny, wyładowałem w lokalu gastronomicznym małej, prowincjonalnej miejscowości. Kiedy wzrok mój oswoił się z półmrokiem słabo oświetlonego wnętrza i przedarł się przez zasłonę dymu, ujrzałem na przeciwległej ścianie imponujących rozmiarów napis: „Zachowuj się kulturalnie, nie klnij, a jeśli już musisz,

oszczędzaj matki swych bliźnich”. Dosadny i dowcipnie wyrażony morał kojarzył z pojęciem kultury normy towarzyskie regulujące współżycie ludzi. Jakże często w zatłoczonym tramwaju, w ogonku, na ulicy, w kłótni sąsiedzkiej słyszmy te słowa: „Pan jest niekulturalny”, a miłą powierchowość, oglądając, umiejętność obcowania z ludźmi kwitujemy określe-

niem: „To miła, kulturalna osoba”. W powszechnie używanym pojęciu „kultura”, tkwi w dużym stopniu społecznie utarty wzorec postępowania, który bardziej odnieść można do dziedziny etyki niż estetyki. Ale nawet taki niepełny wzorec człowieka kulturalnego, od noszący się przecież tylko do kultury towarzyskiej, może być użytecznym kierunkowskazem w działalności społecznej, w polityce kulturalnej.

Przeczytałem ostatnio w „Odgłosach” kilka wypowiedzi na temat działalności kulturalnej w ramach dyskusji o tzw. „kulturze masowej”. Poza jedną, nieudaną moim zdaniem, próbą sprecyzowania pojęć — wypowiedzi obracały się wokół problematyki upowszechnienia kultury, a ściślej rzecz biorąc — wokół polityki kulturalnej. Dawkować kulturę dla mas czy nie dawkować? Czy mniej lub bardziej udane ekranizacje

i inscenizacje arcydzieł literatury są potrzebne, czy też nie? Są to niewątpliwie problemy istotne i nie one budzą mój sprzeciw. Trzeba zresztą przyznać, że autorzy wypowiedzi, pasjonując się problematyką, zgromadzili w dyskusji szereg ciekawych spostrzeżeń i wniosków. Niepokoi mnie raczej pozycja wyjściowa, z jakiej wnioski i spostrzeżenia są wysuwane. Polityka kulturalna, jak zresztą każda działalność, musi mieć określony kierunek i cel. Większość dyskutujących widzi ten cel w upowszechnianiu konsumpcji dzieł sztuki, w udostępnianiu jak najszerzszemu warstwowi społeczeństwa doznań, wzruszeń estetycznych, których źródłem jest obcowanie z dziełami sztuki. Najdobitniej wyraził to w swym artykule Jan Koprowski, pisząc: „Idealem, do którego dążymy w naszym kraju, jest stworzenie kultury ogólnonarodowej, wspólnej dla wszystkich, niestopniowanej i niepodzielnej”. Oczywiście, postulat jak najszerzego upowszechnienia dóbr kulturalnych, jest ze wszelkich miar słuszny, tylko że moim zdaniem jest to środek, a nie cel działania. Celem zaś jest kształtowanie świadomości społecznej, określonego stosunku do świata i ludzi, czyli inaczej mówiąc — kształtowanie określonego oblicza społeczeństwa poprzez utrwalanie określonego światopoglądu. Tym zaś wszystkim, którzy w budzeniu wrażliwości estetycznej widzą ostateczny cel działalności kulturalnej, przeciwstawiać mogą tragiczne do-



OBRAZEK Z GRAZU, o którym pisze Stanisław Kaszyński na str. 5

Dalszy ciąg
na str. 2

JERZY AUGUSTYNIAK

STUDENCKIE ARCHEOLOGICZNE LATO

Leszek musiał być przed praktyką parę dni w Gdańsku, pojechał więc wcześniej, my z Krzysztofem mieliśmy jechać na coroczną, miesięczną praktykę wykopaliskową razem. Tego roku „los” rzucił nas na północ, w województwo bydgoskie, do wsi Odry, gdzieś w chojnickim powiecie... Dalej na północ byli tylko Staszek i Marian, którzy kopali grodzisko w Sopocie, Bogdan w Gdańsku, Janek kręcił się w okolicach Łodzi, Rysiek i Iza w Sieradzu, a Andrzej w jaskiniach Ojcowa. Odbierając dzienniki praktyk w Dziekanacie, spotkaliśmy się wszyscy, wymieniano adresy. Później: cześć i do 1 października.

II
Znaleźliśmy się w jednym

z największych w Polsce kompleksów leśnych, w jednym z 26 nadleśnictw podlegających Zarządowi Lasów Państwowych w Toruniu. Sosny, dęby, buki, graby stoją obok siebie i przegladają się z góry, ludzki poczynaniem komentują, szumiąc konarami. A jest o czym szumieć w bogatej historii Borów, nieśteży, z dezaprobatą. Tak bowiem podczas wojen szwedzkich, jak i wojny siedmioletniej, przemarszu wojsk napoleońskich i działaności smolarzy za czasów Fryderyka II, bartników z czasów książąt pomorskich i fatalnej gospodarki Prusaków — ci mali ludzie robili to samo — niszczyli w różny sposób drzewostan dla swoich celów. Najnowsza historia Borów doczeka się chyba komentarza przychylonego:

ok. 10 rezerwatów częściowych i ścisłych, liczne pojedyncze okazy uznane za pomniki przyrody — to ukłon w stronę przeszłości, mądra, planowa, połączona z zalesianiem eksploatowanych terenów polityka — to dzisiaj. Dąb, o który byliśmy oparci, należał do Nadleśnictwa Państwowego Czersk, leśnictwa Karsin. Południe pachniało żywicą, gorąco... Ściągnęliśmy skafandry i po wbiciu się w plecak wypadło ruszyć dalej. Wiedzieliśmy, że nasz cel — rezerwat archeologiczny, kręgi kamienne, leży w oddziale 233 nad Czarną Wodą. Krzysiek wymacał gdzieś w trawie kamienię

Dalszy ciąg
na str. 6

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok VI
Łódź, 6. X. 63.
Nr 40 (292)
Cena — 1 zł.

odgłosy

JULIAN BRYSZ

Na forum

UCZONYCH

Gdy na początku ubiegłego stulecia powstawało Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Łódź była jeszcze wioską, zagubioną wśród puszczy. Nie miała tysiąca mieszkańców, kiedy przed rokiem 1820, podobne towarzystwa zorganizowano w Krakowie i Płocku. Stawiała pierwsze kroki na drodze wielkoprzemysłowego rozwoju, kiedy w roku 1857 narodziło się najpoważniejsze do dziś, regionalne towarzystwo naukowe w Poznaniu.

Pierwsza, znacząca data w „naukowej” historii Łodzi, to rok 1886. Powstało tu wówczas Towarzystwo Lekarskie. Zaś w cztery lata później — Sekcja Techniczna przy Towarzystwie Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu z siedzibą centrali w Petersburgu.

Powoli i opornie, bez hojnego mecenatu możnych, wysiłkiem tylko ubogiej, postępowej inteligencji, rodził się ruch naukowy w drugim co do wielkości mieście kraju. Przypomnijmy, że pierwsza b.bliotekę publiczną otworzył dopiero w roku 1916.

Wbrew oficjalnej polityce władz Polski niepodległej, oparcia o wyższe uczelnie, działali tu w dwudziestolecie międzywojennym ludzie, którzy położyli fundamenty pod łódzką naukę przez duże „N”. Wychodziły tu „Prace Polonistyczne” pod redakcją Stefania Skwarczyńskiej i „Rocznik statystyczny” Edwarda Rosseta. Te nazwiska należą dziś do

Sekretarz generalny Łódzkiego Towarzystwa Naukowego — prof. dr Jan Dylik, rozmowę z nami rozpoczął od anegdoty, tak plastycznej, że godzi się przytoczyć ją na wstępie.

Na trasie z Warszawy do Łodzi, tuż za Sochaczewem — mówił — stoją dwa ogromne drogowskie — „Poznań” i „Płońsk”. Łódź nie ma. Łódź jest w kraju nieznana. Często więcej niż krajanie, wiedzą o niej niektórzy mieszkańcy... Nowej Zelandii czy Argentyny, a wiedzą z publikacji Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, które popularyzuje w całym świecie dorobek naszego środowiska uczonych.

Skrót „LTN” niewiele mówi również Łodzianom. Z rzadka tylko pojawiają się w prasie wzmianki o książkach, sygnowanych tym znakiem. A przecież...

Spotkaliśmy się już w marcu 1945 roku w nieopalanym hallu Grand Hotelu — wspomina prof. Dylik — by przywrócić Towarzystwo do życia. Był na tym zaimprovizowanym spotkaniu pierwszy rektor Uniwersytetu — Teodor Vieweger, prof. Skwarczyńska, Juliusz Jurczyński i ja. Mieliśmy teraz wielką szansę, Łódź stawała się stolicą uczonych. Z dawnego zresztą miłośników nauki, należało przekształcić Towarzystwo w forum dyskusyjne dla fachowców, w placówkę organizującą życie naukowe miasta. Ta metamorfoza uwidoczniła się w zmianie nazwy i statutu Towarzystwa.

Dalszy ciąg
na str. 7



Kurhan po rekonstrukcji przed oryżowaniem ziemią.



Fragment stel wyznaczających krąg nr 1
Fot.: J. Augustyniak

Z kolei do naszej dyskusji o impasie w LKS — przyłączył się wiceprzewodniczący Wydziału Sędziowskiego LOZPN, sędzia I ligi piłkarskiej — Beno Bretstein. Ten znany dziś działacz sportowy, Łodzianin, dawny piłkarz, od-
czuwa — jak sądzimy — wyjątkowo wnikliwie brak należytej opieki nad młodzieżą piłkarską w LKS.

W swojej wypowiedzi zwraca więc szczególną uwagę na zadania jakie ciąży na działaczach piłkarskich.

Nasuwa się pytanie — czy wśród licznego grona sędziów piłkarskich, którzy kończą czynną karierę „panów z gwizdkiem” nie należałoby szukać tak bardzo potrzebnych działaczy sportowych?

BENO BRETSTEIN

TRZY ZASADNICZE WARUNKI

Jako sędzia piłkarski, który prawie na wszystkich stadionach Polski prowadził zawody piłkarskie śmiem stwierdzić, że jak Polska długa i szeroka — dzieci, młodzież i dorośli — grają w piłkę nożną i że właśnie za pośrednictwem piłki nożnej obojętnie większość młodzieży wchodzi do ruchu sportowego. Za pośrednictwem piłki nożnej — przez uprawianie jej i przez zainteresowanie się grą — duża część społeczeństwa polskiego atak się ze sportem i staje się jego wiernym entuzjastą. Nie dziwie się więc, że jak wielkie zainteresowanie w środowisku łódzkim spowodował pogłębiający się kryzys w drużynie piłkarskiej LKS, od pamiętnego i tak rażącego dla każdego Łodzianina roku '958, gdy drużyna LKS została mistrzem Polski.

Już moi poprzednicy w dyskusji na łamach poczynnego tygodnika „Odgłosy” słusznie podkreślają, że za późno podjęto dyskusję na temat impasu w LKS. Dobrze się wie, że to redaktor Skibiński za początkował dyskusję, z której — wiecie w to — będą korzystać w ostatecznym podsumowaniu, co pozwoli zarzą-

działaczom ciążył obowiązek znalezienia środków zaradczych.

Czy je szukano? Owszem w importowaniu (delikatnie mówiąc) a w mówie potocznej kupowaniu zawodników z innych okręgów, często wadliwej wartości piłkarskiej i moralnej, nie chcąc widzieć dojrzejacej młodzieży piłkarskiej tak we własnym klubie jak i w naszym okręgu — potencjalnych kandydatów do drużyny I-ligowej.

Owszem zrozumienie sytuacji nastąpiło, ale zbyt późno. Dopiero niechlubne wyczyny kilku piłkarzy w Gdańsku spowodowały biele na alarm. Zaczęło rozglądać się za młodzieżą, na nich położono, od razu cały balast odpowiedzialności za losy jedynej I-ligowej drużyny — piłkarskiej drugiego pod względem wielkości miasta Polski. Wierze niezłomnie, że ta utalentowana młodzież wywiąże się z powierzonego zadania, nie zawiedzie zaufania dziesiątków tysięcy zagorzałych kibiców, ale pod warunkiem, że zostanie otoczona pełną opieką i troską na co dzień.

Działacz sekcji musi zrozumieć, że podejmując się opieki nad piłkarzem, a szczególnie nad młodzieżą nie może tego traktować jako „zabawę” wolnego czasu, względnie tylko z punktu widzenia „fanatyka klubu”. Ci ludzie muszą zrozumieć, że nie młodzież jest dla nich, lecz właśnie oni są dla młodzieży i klubu. Muszą wierzyć w tę młodzież. Człowiek odpowiadający za piłkarstwo jest zdolny wie-
le zdziałać, ale... musi spełnić trzy zasadnicze warunki:

Być odpowiednim fachowcem w dziedzinie wiedzy piłkarskiej oraz sumiennym i systematycznym w pracy całorocznej.

Czy działacze sekcji piłkarskiej spełniają te warunki? Śmiem stwierdzić, że nie! Nie mówię, oczywiście, o jednostkach.

Skąd takie oskarżenie i na czym je opieram?

W dyskusji, jeden z czołowych działaczy sekcji piłkarskiej klubu na temat dalszych postępów młodzieży w drużynie I-ligowej, starał się udowodnić, że obecna młodzież grająca w drużynie składa się z samych antytalentów i nawet największe autorytety piłkarskie nie potrafilyby już nic więcej wykręcać z tej młodzieży. Jedyne lekarstwo widzi znów w „importie” z wódników. Byłem zaskokowany, jak może taki człowiek być działaczem, opiekunem młodzieży — jeśli w nią nie wierzy.

Dokończenie na str. 6

EWA SULIBORSKA

JAN AUGUSTYNIAK

Niewielu jest chyba Łodzian, którzy mają takie dla naszego miasta jak Jan Augustyniak zasługi. Dziś blisko siedemdziesięcioletni dyrektor Biblioteki Publicznej był kierownikiem tej placówki od 1917 roku, kiedy to Towarzystwo Biblioteki Publicznej utworzyło w domu kupca Hardziejki na ul. Piotrkowskiej 150 pierwszą w Łodzi wówczas 500.000 mieście bibliotekę. Biblioteka ta liczyła wówczas 400 tomów, poza bibliotekarzem zatrudniono wóźnego i gońca. Miejsce w czytelnicy było 26. I wszystko to mieściło się w czterech małych pokojach!

Kiedy Towarzystwo Biblioteki Publicznej — rozpisano konkurs na posadę bibliotekarza zgłosił swoją kandydaturę. Miałem dwadzieścia trzy lata i ukończone wyższe kursy pedagogiczne. Konkurs wygrałem, choć zgłosiło się 100 kandydatów na tę posadę. Miałem już pewne doświadczenie biblioteczne, (zorganizowałem dwie biblioteki robotnicze i jedną pedagogiczną) miałem też pewne doświadczenie w pracy społecznej, ale na prawdziwego bibliotekarza musiałem się dopiero uczyć. Pojechałem do Warszawy, do Biblioteki Narodowej, której dyrektorem był wybitny bibliotekarz, uroczysty człowiek, Faustyn Czerwinski — on pozwolił mi poznać arkana bibliotecznej wiedzy. Po miesiącu zdałem egzamin. Był to najcięższy egzamin w moim życiu. Na egzaminie przedstawiłem Czerwinskiemu opracowaną przeze mnie strukturę przyszłej łódzkiej biblioteki publicznej. Przewidywała ona istnienie księgozbioru zasadniczego z drukami zwartymi o charakterze akademickim, działu czasopiśm z lat ubiegłych, biblioteki podręcznej i czytelnicy czasopiśm bieżących. Na przyszłość planowałem powstanie takich działów, jak dział starodruków, kartografii, grafiki itd. Klasyfikacja księgozbioru przewidywała system dziesiętny.

Jan Augustyniak przenosi się wraz z biblioteką, której pierwotny lokal wkrótce okazuje się za ciasny, do lokalu większego, na Andrzeja 14, gdzie Biblioteka Publiczna zajmuje początkowo pierwsze piętro (były tam dwie sale czytelni na 80 miejsc, 2 sale gdzie mieściły się magazyny, gabinet dyrektora i kancelaria) a potem i parter budynku. Kiedy po uzyskaniu państwowości rozpadała się władza Towarzystwa Biblioteki Publicznej, jej dyrektor zabiegał o umieszczenie biblioteki.

Pamiętam — mówi Jan Augustyniak — ile ten tak ważny w dziejach Biblioteki akt kosztował trudów. Interwenjano w Wydziale Oświaty i w Prezydium Magistratu, agitowano Radę Miejską. Sam naniekałem na kilka dni przed posiedzeniem artykuł w „Głosie Porannym” „O byt Biblioteki Publicznej w Łodzi” wysłałem go po ukazaniu się gazety do „Głosa” 75 radnych, mając nadzieję, że ktoś z nich przejmie się losem pierwszej w Łodzi książnicy. Wreszcie 21 stycznia 1921 roku na wniosek radnego Leona Holenderskiego władze miejskie oficjalną uchwałą przejęły bibliotekę.



„Umieszczenie Biblioteki miało dla jej rozwoju kolosalne znaczenie. Towarzystwo prowadziło księżnicę w granicach własnego budżetu, fundusze czerpiąc ze składek członkowskich i z ofiar. Po odzyskaniu niepodległości, Biblioteka korzystała z subwencji miejskich i państwowych, były one jednak tylko doraźnie przyznawane. Biblioteczna zapomoga. Teraz, Biblioteka miała swój budżet, jej pracownicy byli etatowymi pracownikami miejskich instytucji publicznych, można było pomyśleć o zwiększeniu liczby personelu o racjonalny zakupie książek, których większość pochodziła dotąd z prywatnych darów. Można było myśleć o organizowaniu filii terenowych, czyli o tworzeniu sieci bibliotek miejskich, których Biblioteka byłaby centralą.”

„Dla Biblioteki — mówi Jan Augustyniak — przeprowadzka to tyle samo co pożar — niszczy zasoby. Aż wódt każdej wielkiej biblioteki uzależniony jest w dużym stopniu od pomieszczenia w jakim się znajduje. Wkrótce tało się jasne, że parter i pierwsze piętro domu przy ulicy Andrzeja 14, nie zaspokaja potrzeb rosnącej wciąż biblioteki. Trzeba było pomyśleć o specjalnie zbudowa-

Łodzianie 1963

nym na ten cel gmachu. Odmówiły czynnik miejskie i państwowe, postanowienie zmo bilizować łódzkie społeczeństwo. Zwróciłem się do obywatela Heiman-Jareckiego i przy jego pomocy został stworzony komitet budowy gmachu, który to na ten piękny cel zebrał 500 tysięcy złotych. Magistrat od pani Wewerowej kupił plac za 10 000 zł a w '93 roku ogłoszony został konkurs na projekt gmachu przyszłej Biblioteki. Napisałem broszurkę, w której dokładnie opisałem czego się od projektodawcy w zakresie potrzeb biblioteki wymaga, nie umiano wtedy budować gmachów bibliotecznych. Konkurs wygrał projekt inżyniera Jerzego Wierzbickiego. Kiedy wybuchła wojna, gmach biblioteki już stał, ale jego wnętrza nie było wykończono. Bibliotekę, której otwarcie przewidziano na styczeń 1940 roku, otwarto 1 marca 1950 roku.”

Dziś w gmachu Biblioteki mieszczą się trzy czytelnie na 163 miejsce, magazyny o siedmiu Londyngach ze specjalnym systemem windy, zresztą ktoś nie zna Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego? Jej zbiory przekraczają liczbę 130 000 tomów, Biblioteka ma 45 filii, które dysponują 400 000 książek.

„Istnieje — mówi Jan Augustyniak — kilka typów bibliotek. W zależności od typu biblioteki tworzy się jej księgozbiór. Inny księgozbiór ma biblioteka młodzieżowa, inny biblioteka tworzona przy zakładzie naukowo-badawczym. Zasadniczą strukturą sieci bibliotecznej obejmuje trzy typy bibliotek: wypożyczalnie książek dla młodzieży, wypożyczalnie dla dorosłych i centralną bibliotekę publiczną, której księgozbiór zawiera możliwie szeroki, rozbudowany o działy z różnych dziedzin nauki. Zeby należały kierować charakterem „Biblioteki, nie zaśmiacąc jej księgozbioru. Biblioteka musi dysponować odpowiednią ilością funduszy na zakup książek, przy czym ilość zakupowanych książek powinna przewyższać ilość książek darowanych. Każda biblioteka ma dział, który szczególnie niechętnie rozbudowuje, w Bibliotece Publicznej takim działem jest dział nauk społeczno-politycznych.”

Jan Augustyniak, wychowawca trzech pokoleń bibliotekarzy, profesor i wykładowca mówi: — „Szkoda, że życie jest tak krótkie. Tytuł wciąż jeszcze czeka ludzi, do których nie trafiała książka”.

O wyborze słów kilka

Dokończenie ze str. 1

świadczenia mojej i starszych generacji. Pamiętam, jakim szokiem było dla mojego pokolenia zetknięcie się z rzeczywistością III Rzeszy, zbudowanej przez społeczeństwo, które w czasach przedhitlerowskich było w szerokim zakresie konsumentem produkcji kulturalnej. Nie chciało się wierzyć, że Niemcy, naród o tak bogatych tradycjach kulturalnych, o takim stopniu upowszechnienia kultury, mogą być nosicielami średniowiecznych doktryn i praktyk. Wielu zapłaciło za swe złudzenia głową. Zresztą i dziś wśród społeczeństw, które nie zetknęły się z potwornościami hitlerowskiej okupacji, spotkać się można z poglądami, że okrucieństwo nazistów to w dużej mierze wytwór propagandy. Czy rzeczywistość wzbudzenie estetyczne, najbardziej wyrafinowane smakosztwo idzie w parze

z postępowością jednostki? Oglądałem w parę lat po wojnie, film produkcji polskiej, pt. „Miasto nieujarzmione”. Utkwiła mi w pamięci uduchowiona twarz esesmana, który z przejęciem i dużą kulturą artystyczną gra na fortepianie utwory Chopina. W następnych scenach ten sam esesman morduje niewinnych i bezbronnym ludzi. W jednym i tym samym człowieku obok dużej kultury i wrażliwości artystycznej, tkwi instynkt oprawcy. W tych przejmujących scenach odsłonięta została naga prawda okupacji. Tego rodzaju doświadczenia posiadają każdy, kto stykał się z okupantem. Nie posadzę dyskutantów, z których większość, a może i wszyscy zetknęli się z rzeczywistością okupacyjną, o brak takich doświadczeń. Być może, kontrowersja tkwi w samym pojmowaniu roli sztuki, w tym, czy sztuka jest głównie nosicielem wzbudzeń estetycznych, czy też że jej najistotniejszą rolą jest głębsze oddziaływanie w dojrzałej formie artystycznej treści światopoglądowych. Jako działacz społeczny, a jest nim przecież działacz kulturalny, są-

dę, że wszelkie wzruszenia estetyczne służą pogłębianiu treści światopoglądowych, które sztuka niesie z sobą. Konsekwencją takiego poglądu jest konieczność wyboru zarówno dla działaczy kulturalnych, jak i dla twórców. Postulat wyboru nie dotyczy ani schematyzacji ujętej tematyki, ani rezygnacji z osiągnięć formalnych, jest on raczej związany z podstawą światopoglądu, w naszym wypadku wobec światopoglądu socjalistycznego. Wybór postuluje świadomy udział w walce światopoglądowej, jaka toczy się na całym świecie, przy czym — świadomie czy nieświadomie — wyboru tego dokonuje każdy twórca, każdy działacz kulturalny, nawet jeśli zaslania się w ucieczce przed „polityką” autarkiczną rolą sztuki jako wyłącznego nosiciela wzbudzeń i doznań estetycznych. Chodzi o to, jaki wzorzec „człowieka kulturalnego” utrwała się poprzez konsunpcję dzieł artystycznych w świadomości naszego społeczeństwa. Czy będzie to wzorzec estetycznego snoba, chowającego się przed światem zewnętrznym w skorupę własnych doznań, własnej indywidualności, czy

też obywatela społecznika, który wrażliwość artystyczną łączy z wrażliwością na krzywdę społeczną, który aktywnie uczestniczy w jej likwidacji, świadomie buduje nowe, bezklasowe społeczeństwo. Wzórów i propozycji może być oczywiście więcej, mogą one być częstkowe, zawsze jednak niosą z sobą ładunek światopoglądowy. Z tego właśnie względu dla mnie pojęcie „kultury socjalistycznej” jest bliższe i klarowniejsze niż pojęcie „kultura masowa” czy „ogólnonarodowa”, określa bowiem treści, jakie z sobą niesie.

Oczywiście, ani wyraźnie nakreślony cel, ani generalnie potraktowany problem wyboru treści światopoglądowych nie wyczerpuje problematyki upowszechnienia kultury czy też — bo tak ją chyba rozumieją — inicjatorzy dyskusji — problematyki „kultury masowej”. Dopiero jednak mając w perspektywie określony cel, znając kierunek działania, możemy mówić o metodach i środkach oddziaływania, oceniając rezultaty.

Z powyższego nie należy wyciągać wniosków, że jestem za dawkowaniem dzieł sztuki, za preparowaniem papki dla słabych intelektualnie, za nieudanymi, zacieraającymi kształt i piękno utworu, a więc osłabiającymi jego oddziaływanie inscenizacjami i ekranizacjami. Tu zgadzam się całkowicie

z moimi poprzednikami. Wiśławem Jażdżyńskim i innymi. Wydaje mi się jednak, że w działalności artystycznej i kulturalnej ciężar zagadnienia przesunąć należy z budzenia wrażliwości estetycznej na kształtowanie świadomości społecznej, świadomości budowniczych socjalizmu. Jest to szczególnie ważne przy ocenie działalności instytucji masowego oddziaływania, takich jak radio, telewizja, film czy prasa. Jest to szczególnie ważne w kraju o tak burzliwych i szybkich przemianach społecznych jak nasz, w którym na wół feudalne i na wół kolonialne stosunki panujące na wsi i w miasteczkach międzywojennych, ciąży jeszcze żywa tradycja na świadomości znacznej części klasy robotniczej. Stefan Żółkiewski formułując w swych „Przypowiedniach i wspomnieniach” (PIW, 1963) zadania polityki kulturalnej pisał: „Zadaniem rewolucji kulturalnej jest stworzenie kultury socjalistycznej przez upowszechnienie w branych tradycji oraz stworzenie nowych wartości w procesie budowania socjalizmu”. (Podkreślenia moje A. P.).

Szkoda, że twórcy, krytycy i działacze kulturalni tak rzadko zaglądają do roczników statystycznych. Pozornie suche cyfry zawierają w sobie pasjonujące treści. Oto kilka cyfr zaczerpniętych z

Rocznika Statystycznego 1962, ilustrujących dynamikę przemian zachodzących w naszym kraju. A więc na przestrzeni lat 1946—1961 ludność naszych miast wzrosła niemal dwukrotnie, bo z 7,5 miliona do 14,6 miliona, zaś zatrudnienie w gospodarce narodowej trzykrotnie, bo z 3.261.000 do 7.826.000. Stosunek mieszkańców wsi do mieszkańców miast wyrażał się w r. 1946 liczbami 16,5:7,5, a w r. 1961 już 15,5 miliona ludzi mieszkało na wsi, zaś 14,6 miliona w miastach. Kraj ulega radykalnym przemianom społecznym, urbanizuje się, uprzemysławia, nasycą nowoczesną techniką. W ciągu kilkunastu lat społeczeństwo zmienia gruntownie swe oblicze. Za tymi gwałtownymi skokami, w rozwoju nie zawsze nadąża świadomość społeczna. Ilekto nawyków, złych, zaczerpniętych z dzungli kapitalistycznych miast i miasteczek relikwii obyczajowych, zabobonów i przesądów tkwi w zbiorowej psychice poszczególnych środowisk. Tworzenie nowych wartości, nowych wzorców społecznych, kształtowanie świadomości szerokiego mas społeczeństwa w duchu socjalizmu — oto ogromne zadanie stojące w naszym kraju przed oświatą, nauką i sztuką. Temu zadaniu podporządkować się musi także polityka kulturalna.

ALEKSANDER POSTOŁOW

„PASAŻERKA“

O różnych koncepcjach ukończenia „PASAŻERKI“ mówiło się i pisało w ciągu ostatnich dwóch lat, które upłynęły od tragicznej śmierci autora „Eroiki“ — Andrzeja Munka. Grupa jego przyjaciół z reż. Witoldem Lesiewiczem na czele nie miała łatwego zadania w wyborze koncepcji ukończenia filmu, z drugiej strony chciała być jak najbardziej wierna założeniom scenariuszowym, artystycznym z jakimi Munk przystępował do realizacji „Pasażerki“, i które wielokrotnie w trakcie kręcenia filmu zmieniał, modyfikował, a nawet odrzucał. Stąd rozdziły się obawy, czy nie lepiej nakreślony materiał filmowy odłożyć do archiwum jako dokumentu dostępnego tylko dla twórców filmowych, krytyków itd.

Lecz nie ukończone dzieło Andrzeja Munka nie dawało spokoju, nurtowało jego przyjaciół. Pomysł reż. Lesiewicza i jego współpracowników ukazania na ekranie „Pasażerki“ jako dokumentu o nieukończonym dziele jednego z naszych czołowych twórców filmowych okazał się chyba jedynym i najsluszniejszym. Forma operowania skrótem filmowym, zatrzymaną klatką filmową, nabrała w tym filmie nowego wyrazu artystycznego. Skrótem ramy współczesna „Pasażerka“ jak i cały film został świetnie skomentowany przez Wiktora Woroszyńskiego. Skomentowany obiektywnie i jednocześnie ciepło, tak w odniesieniu do zmarłego twórcy jak również i do jego przerwanej dzieła. W tej wersji film Munka stał się chyba jeszcze bardziej drapieżnym, niemalże dokumentalnym odwołaniem do obiektywnej prawdy o „czasach pleców, krematoryjnych“ i współczesności jakże często przetwarzanej byłym oprawcom

i ich ofiarom niespodzianki w postaci przypadkowych spotkań i konfrontacji.

Dwie bohaterki filmu — Liza i Marta, Munk i współautorka scenariusza Zofia Posmysz, postawili w sytuacji konfliktowej; w sytuacji, kiedy ofiara podejmuje niebezpieczną grę ze swoim prześladowcą, również nie pozbawionym ludzkiej psychiki, umiającym oceniać czyny swoje i innych; katem w spódnicy dysponującym takimi samymi odczuciami i wyposażonym w niemalże takie same jak ofiara atrybuty kobiecości. Stawką w grze jaką toczy Liza z Martą jest nie tylko stawka życia, za nią ukrywa się jeszcze coś więcej, coś wypływającego z podjęcia walki o ludzką godność, o ocalenie wszystkiego, co można było w piekle Oświęcimia ocalić. Andrzej Munk przystępując do realizacji filmu powiedział, że treścią „Pasażerki“ będzie „konflikt odpowiedzialności sumienia i problem kresu wytrzymałości człowieka“. Liza jest przeciwniczką nie pozbawioną rozsądku, umiającą świadomie wygrać przewagę fizyczną jaką jej dano nad Martą, która potrafi jednak rozszyfrowywać, a nawet uprzedzać i oddawać ciosy do tego stopnia, że wygrywa.

Munk ukazując swoje bohaterki na tle codziennego dnia w obozie nie chciał zbyt często i natrętnie eksploatować wszystkich znanych okropności i okrucieństw hitlerowskich. Chciał ukazać przede wszystkim i chyba to zrobił, Oświęcim jako typowy, z niemiecką skrupulatnością i pedanterią zorganizowany obóz uśmiercania ludzi. Jakże oszczędnie i jak zarazem wstrząsająco ukazany został blok śmierci — komory gazowe, krematorium. Na hitlerowców spojrzal Andrzej Munk nie tylko jako na sadystów,

ale także na wyszkolonych specjalistów, np. od prawidłowego sypania śmiercionośnego cyklonu, czy też jako świetnych organizatorów i dysponentów oświeceniowych magazynów. Owa hitlerowska mechanizacja uśmiercania ukazana w „Pasażerce“ jest nie mniej wstrząsająca i okrutna niż masowe mordy i znęcanie. Sam Andrzej Munk w jednym z wywiadów prasowych mówił m. in. na temat realizacji „Pasażerki“: „...nawet nie słysząc odgłosów strzałów. Staramy się odciąć od wszelkich brutalnych obrazów. Obrazy mojego filmu — to tłumy więźniarek, gromady rozebranych ludzi, małe wózki dziecięce, druty, słupy...“

Trudno w ostatnim filmie Munka skrupulatnie oceniać kreacje aktorskie Aleksandry Śląskiej i Anny Ciepielewskiej, które przyjmuje się bez zastrzeżeń; aktorstwo mądre przez swoją dojrzałość, opanowanie i chyba olbrzymią skromność. Nie można pominąć wkładu pracy w kształt artystyczny „Pasażerki“, ze strony znakomitego operatora Krzysztofa Winiewicza. Wreszcie pracy całego zespołu ludzi, którzy realizowali z Munkiem „Pasażerkę“ i utrwali po jego śmierci jej drogę na ekrany. Jakże prosto, a zarazem serdecznie brzmia słowa komentatora Wiktora Woroszyńskiego: „My współpracownicy Andrzeja Munka oraz ci, którzy później przyłączyli się do ekipy „Pasażerki“ nie zamierzamy dopowiadać tego czego nie zdążył dopowiedzieć jej twórca“. Pomimo tych skromnych słów dzieło Munka nie jest czymś szczątkowym, fragmentarycznym, ale chyba całością, mocno pobudzającą do przemyśleń; utworem jak najbardziej współczesnym, aktualnym przez postawiony w nim problem odpowiedzialności ludzkiego sumienia.



Fotos ze wspaniałego filmu „Viridiana“, który w najbliższym czasie wejdzie na ekrany łódzkich kin

Okienko widza filmowego

Tradycyjna forma westernu uległa obecnie gruntownym przeobrażeniom. Dziś, aby western zaliczono do udanych, musi on mieć podbudowę psychologiczną, musi zawierać jakieś poważniejsze treści. Oczywiście, to bardzo cenne, jeśli w ramach ciekawego, pasjonującego filmu kowbojskiego znajdzie się miejsce dla innych, głębszych wartości, jeśli spośród strzelaniny i konnych harców wyłoni się prawda o człowieku — prawda, która jest przecież taka sama na Dzikim Zachodzie, czy gdziekolwiek indziej.

Alé taki western, jak wszystko co cenne, trafia się niezmiennie rzadko. Pamiętam „W samo południe“ ze świetnym Gary Cooperem, czy klasyczny już dziś „Dyżurni“. Niestety, większość westernów w poszukiwaniu nowej treści gubi starą, emocjonującą formę. Oglądane przeze mnie ostatnio „Rancho w dolinie“ jest tego właśnie smutnym przykładem, podobnie zresztą, jak uświetlany niedawno western Marlona Brando „Dwa oblicza zemsty“. Na rancho życie toczy się spokojnie, nie ma żadnych niespodzianek, każdy widzi może bez trudu przewidzieć co stanie się za chwilę na ekranie. Przez 3/4 filmu nic się właściwie nie dzieje, a co gorsza przeżycia pozytywnego bohatera o „trud-

W obronie WESTERNU

nym dzieciństwie“ — są sztuczne i nieprzekonywujące. Gdyby nie dobre zdjęcia na szerokim ekranie, świetny kolor i piękne koniki trudno naprawdę byłoby wysiedzieć na tym rozlewkowym i nudnym filmie. Rozterki zmanierowanego bohatera, wahającego się pomiędzy urodziwą a rozpustną kusicielką i skromnym, pobożnym dziewczęciem — znudziły mnie i zmęczyły. I pomyślałam z żalem, że taki western, pełen pretensji, choć pozbawiony napięcia jest bardzo smutną rozrywką.

Z tym większym zdumieniem wyczytałam w jednej z naszych gazet codziennych, że film ten jest ciekawy i głęboki, a poruszane w nim wątki są aż... szekspirowskie. Na szczęście dla recenzentów Szekspir był tak uprzejmy i poruszył w swojej twórczości co ważniejsze problemy życia ludzkiego, tak więc teraz można bezpiecznie wywodzić od niego każde słowo pisane o miłości, zazdrości, zdradzie, itd., itd. Sposób to zarówno łatwy, jak efektowny, ale dziwię się bardzo jak można wpasować na pomysł, że „Rancho w dolinie“ i Szekspira łączy cokolwiek poza językiem angielskim.

Przeistawmy upatrywać śladów Szekspira w westernach. Western to przecież tylko rozrywka, jeśli czasem uda się stworzyć tak wybitne dzieło, jak wspomniane już przeze mnie „W samo południe“, to nie znaczy przecież, że należy już odtąd robić tylko takie filmy (dobrze by było, ale to się, jak widzimy nie udaje) i zrezygnować z tradycyjnych westernów. Nie wstydzimy się, nie szukajmy głębi tam, gdzie jej nie ma.

ALICJA

ZMIERZCHY i BLASKI

Co pewien okres czasu w telewizji następuje zmierzch jakiegoś cyklicznej audycji, jakiegoś tytułu, który ongi budził powszechne zainteresowanie, budził też cenne dyskusje i polemiki. Zmierzch ogarnął wiele już takich znanych tytułów. Proszę zwrócić uwagę, jak rzadko pojawia się teraz — swego czasu ogromnie pasjonująca audycja: „Wszyscy jesteśmy sędziami“. Ta audycja, która spełniała wielką rolę społeczną — była publicznym forum, dokonującym moralnych oraz obyczajowych ocen pewnych negatywnych zjawisk, zachodzących w naszym społeczeństwie — przetrwała, lub może wyczerpała się inwencja twórcza jej realizatorów; w każdym razie, obecne „Wszyscy jesteśmy sędziami“, chociaż pojawia się na ekranie telewizyjnym niezwykle rzadko, przestało spełniać swoją rolę społeczną sędziego. O tej audycji, niegdyś zjednującej dla siebie entuzjastyczne opinie, mówię się teraz, że jest zbyt sztuczna, zbyt wiele w niej niedobrej inscenizacji, wypaczającej istotny sens programu „Wszyscy jesteśmy sędziami“.

Telewizja rozumie czasem — podkreślam: czasem — potrzebę jeżeli nie całkowitej likwidacji przeżytego tytułu, to przynajmniej jego reorganizację merytoryczną, przeprowadzenia w nim jakichś istotnych zmian tematycznych. Tak się stało z „Pegazem“ — magazynem kulturalno-literackim, prowadzonym przez Grzegorza Lasotę, chociaż, moim zdaniem, nie wymagał on jeszcze aż tak radykalnego cięcia. Odświeżony

jednak „Pegaz“, teraz realizowany wspólnie z Ernestem Bryllem, którego pierwszy numer, już nowy, już na nowych zasadach, mieliśmy okazję oglądać niedawno — dowiódł, że nie tracąc nawet przewodniej myśli, pierwotnego założenia — można na starych zasadach podać widzom zupełnie nową pożyteczną audycję. Wszystko jedno: zależy od tej osobistej inwencji autorów programu.

Tak stało się też z nieszczęsnym „Klaspem“ przez długi czas pięta achillesowa telewizji, który — dzięki zmianie redakcji stał się błyskotliwym i wartościowym magazynem aktualności filmowych.

Niestety, w większości przypadków, właśnie tam, gdzie w zmierzchu jest drastyczny i „konfliktowy“ — telewizja takich cięt nie chce przeprowadzać. Oczywiście, mam na myśli „Kobry“, której jubileuszowy, dwóchsetny pokaz był smutnym, żenującym widowiskiem. Pisałem swego czasu, o tym, czy nie należałoby w ogóle zrezygnować z „Kobry“. Broniliem też swego czasu „Kobry“, uważając, że ten gatunek rozrywki jest potrzebny zmęczonemu nad wyraz telewizywowi, że „Kobry“ można przy pewnych, koniecznych zmianach utrzymać. Tak nadal uważam, lecz jednocześnie nie waham się powiedzieć — lepiej położyć krzyżyk na „Kobrze“, lepiej pochować ją cicho i bez pomp, niż pokazywać nam, na siłę przepychać „Kobry“, która — po pierwsze: traci szmira, po drugie: szkodzi dobremu imieniu telewizji, po trzecie: wywołuje w czło-

wieku bezsilną wściekłość, że znowu dał się nabrać i ogłuszył taką miernotą. „Kobra“ w obecnej postaci jest jaskrawym przykładem absolutnej nieumiejętności — reżysera, scenarzysty i aktorów. Zbyt dużo osób przy okazji jednej „Kobry“ zaczyna się kompromitować. „Wizyta u mordery“ — J. Joachima, w reżyserii J. Stotwińskiego, była klasycznym popisem zupełnej klapy, całkowitej klęski. Tekst, reżyser, aktorzy, a nawet dekoracje, przewracające się na wizz, sprzysięgły się tym razem solidarnie przeciwko „jubileuszowej“ „Kobrze“.

Niedobry kryzys przeżywa ostatnio również i „Studio 63“. W ubiegłym tygodniu „Studio 63“ przedstawiło adaptację znakomitej powieści Juliana Kawaleca „Ziemi przypisany“. Powieść jest znakomita, spektakl zaś wyszedł załośnie nieudolny, w niczym nie oddający ani klimatu, ani założeń ideowych książki. Wina to adaptacji, wina też reżyserii i wina aktorów. Adaptator — M. Komorowska, nie potrafiła wydobyć z powieści Kawaleca tego, co jest w niej najistotniejsze: konfliktu społecznego, pokazanego na przykładzie uwikłanej jednostki: Józefa Trepy. Nie zostało z dramatycznej powieści Kawaleca, która, bardzo trudna formalnie, konstrukcyjnie — rozgrywająca się w dwóch przedziałach czasowych, wy-magała nie lada kunsztu pisarskiego od adaptatora, nie lada poczucia sceny od reżysera, i nie lada umiejętności aktorskiej od wykonawców. Czas przeszły „Przypisanego ziemi“, motywujący

całe życie, a więc i motywujący postępowanie bohatera, Józefa Trepy, pomieszał się w telewizyjnym spektaklu, ani reżyser, ani adaptator nie potrafili dać tej wyraźnej linii demarkacyjnej pomiędzy rzeczywistością: przewodem sądowym, a czasem przeszłym, który tę rzeczywistość w sądzie uwarunkował z żelazną konsekwencją. Dramat Józefa Trepy zaginał gdzieś między jakaniem się mylącego frazy zdań, niedouczonego swojej roli Wojciecha Siemiona (prokurator, druga postać węzłowa powieści), a bładymi zeznaniami świadków, z których najlepiej aktorsko wypadła Zofia Rysiówna, w roli siostry Trepy, Jadwigi.

Zmierzch zaciążył także na programach rozrywkowych. Jest ich przede wszystkim za mało, a to wielki błąd, ponieważ telewizja nie samą filozofią żyje, potrzebuje coś lżejszego dla ducha i dla oka. Sobotni: „Bo z tą modą...“ — program rozrywkowy przygotowany wspólnie z „Modą Polską“ (stad też podstawą jego stanowiła rewia mody, lecz dla kogo ta moda, dla kogo?, nie na nasze kieszenie marnych śmiertelników)

Dalszy ciąg
na str. 7

odgłosy str. 3

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ urodzony w Kaliszu, a mieszkający w okresie międzywojennym w Warszawie, wybrał po drugiej wojnie światowej za miejsce swej działalności publicystycznej i literackiej Łódź. W roku 1951 Rymkiewicz wydał mikropowieść o wyzwoleniu Żulaw pt. „Ziemia wyzwolona”, która została przetłumaczona na trzy języki. Następnie pisarz podejmuje pracę nad powieścią historyczną, opartą na motywach plebejskich i w 1958 r. otrzymuje nagrodę literacką m. Łodzi. Szereg dalszych powieści historycznych zamyka wydana w 1963 r. powieść „Trzystu pod Dobrą”, w której autor zobrazował udział ziem łódzkiej w pierwszych miesiącach powstania styczniowego. Zainteresowania Rymkiewicza są jednak coraz bliższe współczesności, jak świadczy powieść z czasów na przełomie okupacji i wyzwolenia pt. „Ucieczka z ziemi obiecanej” (1961 r.).



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

TEMAT ŁÓDZKI

Stanisław Czernik i Jan Koprowski wypowiedzieli się na temat wzrostu znaczenia łódzkiego środowiska literackiego w ostatnich latach i to zważnia mnie o zabierania głosu w tej sprawie. Sądzę natomiast, że w związku z ankieta 20-lecia warto poświęcić trochę uwagi „tematowi łódzkiemu” w tej postaci, w jakiej on występuje u starszych i młodszych pisarzy w ostatnich czasach.

Większość poetów i powieściopisarzy, zgrupowanych w łódzkim oddziale Związku Literatów Polskich, to przybysze ze wszystkich stron Polski, którzy po burzliwych perypetiach drugiej wojny światowej znaleźli dach nad głową w gościnnym mieście włókniarzy. Po mimo wynikającego stąd długiego wdzienności, trzeba było trochę czasu, aby żyć się z nowym otoczeniem, zadzierżyć wieży przyjaźni z niełatwym „polskim Manche stem”, poznać jego bogactwo i dramatyczną rewolucyjną przeszłość, roznać się w skomplikowanej problematyce jego teraźniejszości, jednym słowem, trzeba było, poczekać, „nim się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytuł uleży”.

Dlatego pierwszego rekonensansu w terenie dokonały reportaże literackie, z których między innymi należy chyba przypomnieć jeden z najwcześniejszych „Przadzki z Czwartej Lewej”, zbiorowy tomik Z. Fijaśa, J. Koprowskiego, Wł. Rymkiewicza i T. Szewery (Czytelnik, 1952) oraz — ostatni: „Ucieczkę Przedmieścia” (Wyd. Łódzkie 1963).

Z kolei pisarze zaczynają dokonywać ostrożnej penetracji w przeszłość robotniczego miasta. „Podzielić się pragną moją skromną wiedzą o tym niecodziennym zjawisku, jakim jest droga przemian i wzrostu prądowego, w borach zagubionego „Łodzi-miasteczka”, aż po pierwsze lata XX stulecia” — pisze Helena Dulinówna w niedocenionych „Gawędach o dawnej Łodzi” (Wyd. Łódzkie 1958), zaś Leon Gomolicki w „Wieczorach nad Łódką” i w „Białym runie” stara się odgalić swoisty folklor robotniczy w watach historycznych i realiach codziennej pracy łódzkich tkaczy i przadec.

Jest rzeczą jasną, że pojęcie „temat łódzki” można rozumieć w sensie węższym i szerszym. W tym drugim znaczeniu opowieściami o

tematyce łódzkiej będą utwory, których fabuła w jakikolwiek sposób związana jest z Łodzią, występującą nawet jako słabo zarysowane tło lub teren, na którym rozgrywa się akcja. W tym znaczeniu do tematyki łódzkiej można zaliczyć i „Suche trawy” Andrzeja Brychta, jednego z najlepiej zapowiadających się młodych pisarzy, jakkolwiek Bałuty, Chojny, „Grandziak” czy „fabryczniak” i tym podobne elementy fabuły są tylko pretekstem służącym do wyrażenia uczuć oburzenia i protestu przeciwko światu, widzianemu oczami wykołowanego rozbitka czy bałuckiego chuligana.

To samo można powiedzieć o „Magdalenie w nocy” Tadeusza Papiera (który pisząc o ludziach marginesu społecznego na tle Łodzi stawiał sobie za cel raczej analizę sytuacji życiowej, tzw. trudnej młodzieży, niż charakterystykę związków łączących tę młodzież z jej rodzinnym miastem) i o popularnej „Laseczce i tajemnicy” Zbigniewa Nienackiego (powieści, w której bałucki rzeźmieszek, adwokat ze Zgierza lub kolekcjoner z Brzezina reprezentują rejon łódzki na prawach kolorytu lokalnego).

Nieco inaczej przedstawia się sprawa tematu łódzkiego w „Tajemnicy Maksa Hellebra”, „Narodzinach Brunona Bundera” i „Ulicy Wilczej”, tym tryptyku (jak go nazwali recenzenci) łódzkim Bernarda Sztajnera. I tutaj wprawdzie pisarz stawia problemy i zakłada sobie cele wykraczające poza tematykę łódzką, ale bohaterowie jego utworów mocniej niż w utworach innych pisarzy — są zrośnięci z miastem, którego gwar i zgiełk słychać na kartach powieści.

Wymieniałem mieszkających tutaj i pracujących w Łodzi utalentowanych twórców i to jest chyba odpowiedź na pytanie, jak oceniam dorobek łódzkiego środowiska literackiego, chociaż nie mogłem wymienić wszystkich, a jest nas tutaj przecież już czterdziestu.

Czy jednak „temat łódzki” w utworach wymienionych pisarzy zaspokaja potrzeby i oczekiwania szerokiego rzeszy czytelników? Z pewnością, jeszcze — nie. Wszyscy czekamy na dzieło, w którym znajdziemy, my, siedemset tysięcy łódzian, nasze odbicie, jeszcze niedoskonałe i chwiejne, jak odbicie sylwetki człowieka na powierzchni płynącej rzeki, ale już — prawie bliskie prawdy. Biorąc, żeby ogarnąć temat łódzki w całej jego rozciągłości i pełni, trzeba mieć wiedzę o człowieku, który swoim wysiłkiem i trudem zagospodarował obszary między Wartą i Pilicą i który w dolinie Łódki i Jasieni wzniósł w pocie czoła i w mozołach stolicę włókniarzy, trzeba pamiętać o genealogii proletariackiej i tradycji, a jednocześnie o nieznanych przedtem możliwościach, jakie rzeczywistość dzisiejsza otworzyła przed zamieszkałymi na tej ziemi ludźmi.

Pytacie, co sądzę o roli pisarza w Łodzi? Jeżeli potrafi on wyrazić myśli i uczucia nas wszystkich, zamieszkałych tu trudne i bogate w złożoną problematykę społeczno i moralną miasto, to spełni chlubnie swe zadanie i z pewnością zyska poklask.

Zapytuję, jaki powinien być udział pisarza w życiu miasta?

Odpowiedź prosta: Udział pisarza w życiu społecznym polega na pisaniu dobrych utworów.

EWA SULIBORSKA

Niemalą odwagę wykazuje autor, który sięga dziś do problematyki związanej z ostatnią wojną. Niemalą też odwagę na siebie obowiązuje. Problematyka ta wielokrotnie podejmowana zarówno przez dramaturgów jak i przez prozaików, wielokrotnie dyskutowana, doczekała się zarówno szeregu świetnych, w artystycznej realizacji utworów jak i szeregu intelektualnie przemysłanych koncepcji. Ale jest to okres wciąż pełen dla dramaturga pokus! Im dalsze zwiędzie i Władysław Orłowski. Jego nowa sztuka „Jutro Berlin” otwiera na nowo jak się zdawało po okresie „obrachunków” ostatecznie zamkniętą — tematykę.

Oto kwatery Antoniego Kostrzyca — pułkownika, dowódcy jednostki polskiej wchodzącej w skład zwycięskiej armii zdobywającej Berlin. Oto czas poprzedzający szturm na miasto. Wojna w jej ostatniej sprężynie lat dwudziestych fazy jest dla Orłowskiego właściwie pretekstem. Spełnia rolę kostiumu koniecznego o tyle, o ile potrzebny jest by mógł realizować analitykę, autora „Sprawiedliwości w Kłocie” nie interesuje ani batalistyczna, ani żołnierska wspomnienia. Orłowski nie wykorzystuje tego, co, jakby się mogło zdawać, może najbardziej frapować dramaturga. Nie korzysta z dobrodziejstw jakie niesie sytuacja. Kwatery Kostrzyca nie jest areną, gdzie autor dokona w przedmiejście zwycięstwa, przed decydującą bitwą — ostatecznego rozrachunku z wojną i przeszłością.

Nie jest też areną, gdzie zaprezentowane zostaną postawy i konflikty bohaterów sztuki. Moment historyczny, owa polska stopa deptająca hitlerowską bestię w jej zbrodniczym gnieździe, choć parokrotnie podkreślany (kwiecień kapitana Lutecznego, gra go Jerzy Walczak) nie ma dla przebiegu dramatycznych wypadków żadnego znaczenia. W tym układzie zdarzeń jak w „Jutro Berlin” mogły się one rozegrać w każdym innym momencie wojny.

Ta wielość prowadzonych jednocześnie wątków, i to wątków poruszających dość różnorodną problematykę, powoduje, że utwór Orłowskiego jest nie tylko niejednolity stylistycznie, ale co ważniejsze sprawia wrażenie sztuki, to do sztuki do powieści raczej, a nie do dramatu. Tyle tu poruszonych spraw, tyle ledwie zaznaczonych konfliktów.

Dla Orłowskiego wojna jest jak się rzekło pejzażem, tem raczej, niż istotnym bohaterem.

„Jutro Berlin”

I to jest chyba błąd dramatyczny. „Jutro Berlin” nie opart Orłowski na jednym dramaturgicznie organizującym utworze, jak np. „Dziś i jutro”, co przynajmniej pozoruje akcję. Znaczącą rolę odgrywa tu przebieg aktorów wzdłuż i wzdłuż sceny (tę Ewa Sobolowa, która zaplanowała dekoracje przedstawiające przekrój domu — podzieliła na dwa poziomy), a także praca telefonistki wy-

Dla przebiegu wypadków scenicznych ma ona znaczenie w pierwszym rzędzie inscenizacyjne. (Jerzy Wyszomirski zorganizował na scenie coś, co zastąpić ma „działanie się”, co przynajmniej pozoruje akcję. Znaczącą rolę odgrywa tu przebieg aktorów wzdłuż i wzdłuż sceny (tę Ewa Sobolowa, która zaplanowała dekoracje przedstawiające przekrój domu — podzieliła na dwa poziomy), a także praca telefonistki wy-



wołującej wciąż na nowo odległe jednostki. Związane z wojną wydarzenia, te które mają wpływ na przebieg wypadków — są bowiem tylko przez bohaterów sztuki relacjonowane, rozgrywane się poza sceną. Tak jest w wypadku śmierci Beaty i Strzelca, tak jest w wypadku patrolu prowadzonego przez Galenę, tak jest w wypadku niemieckiego chłopca strzelającego do polskich żołnierzy.

Zasadnicza problematyka sztuki, jak sam to zresztą Orłowski wyklada w artykule zamieszczonym w programie do sztuki „Jutro Berlin” — mieści się w kategoriach moralnych rozważań o stosunku zwycięzców do zwyciężonych. Tę problematykę zarysowuje w „Jutro Berlin” historia Inez i historia niemieckiego chłopca. Szkoda tylko, że Orłowski problematyki tej nie pogłębia.

Jak można tu zresztą prezentować zwycięzów nie zaprezentować i zwyciężonych? Chłopiec z Hitlerjugend i jego rodzice nie mogą być jedynymi przeciwnikami w tej rozgrywce o czystość moralną.

Jest w sztuce Orłowskiego postać i jest konflikt będący zapowiedzią frapującej problematyki. Myślę o majorze Andrzeju Kaleniacu. Ale wtedy „Jutro Berlin” byłby tylko prologiem do sztuki, której Orłowski — niestety nie napisał.

Jak zachowają się zwycięzcy? Co będzie motorem ich działań? Jakże rozgrywkę podejmą? Odpowiedzi na te pytania „Jutro Berlin” Orłowskiego nie daje. Na szczęście dla sztuki Kazimierz Iwiński, Józef Zbiroń, Krzysztof Chamiec i Józef Łodyński z dość walego materiału granych przez siebie rolę zdołali stworzyć interesujące i niejednoznaczne sylwetki ludzi.

Teatr Jaracza, Władysław Orłowski „Jutro Berlin” — reż. Jerzy Wyszomirski, scenografia: Ewa Sobolowa.

JAN KOPROWSKI

Indzie i Księżki

GRASS i MUSIL

Gdy książki głośnych za granicą pisarzy wydaje się w Polsce, po raz pierwszy, nąsują się nieodparcie dwa pytania. Pierwsze: czy tłumaczony utwor został trafnie wybrany, tj. czy reprezentuje najbardziej znamienne cechy stylu danego twórcy. I drugie: co to jest w ogóle za pisarz i jaką zajmuje on pozycję w literaturze współczesnej.

Mam przed sobą powieści Güntera Grassa „Kot i mysz” oraz zbiór opowiadań Roberta Musila „Trzy kobiety”. Zaczynając od pierwszego z nich, Günter Grass, gdańszczanin, urodzony w 1927 roku, należy do młodego pokolenia pisarzy zachodniemieckich budzących wielkie nadzieje, związane z odnowieniem literatury tego kraju. Mimo młodego wieku, zdołał już napisać kilka dramatów, dwa zbiory wierszy oraz trzy tomy prozy, które stawiają go w rzędzie przodujących pisarzy również poza granicami jego ojczyzny. Pierwsza powieść Grassa „Blaszany bebenek” (Blechtrömmel), przetłumaczona na francuski, stała się szlagierem sezonu i uzyskała nagrodę za najlepszy utwor cudzoziemski autora, ogłoszony we Francji. Sukces ten powtórzył się po wydaniu „Blazanego bebenka” w Anglii, choć — jak wiadomo — Anglii wszelkie nowości przyjmują ze znacznie mniejszą euforią, niż Francuzi. Obecnie ukazują się w NRF nowa powieść Grassa pt. „Hundejahre” („Psie lata”), która — stała się sensacją jeszcze przed jej opublikowaniem. Nas, Polaków, autor ten interesuje również dlatego, że w każdej jego powieści występuje sprawa polskie. Nie bez znaczenia jest tu pochodzenie pisarza: urodził się w rodzinie kaszubskiej, a jeden z jego przodków nazywał się po prostu Graszewski. Grassa fascynuje polski romantyzm, cwałujący w powietrzu husaria w „Blazanym bebenku” jest jakby symbolem owego romantyzmu. Akeja wszystkich jego dotychczas wydanych powieści dzieje się w Gdańsku, a polskie realia są wszędzieobecne. Przed dwoma laty miałem sposobność rozmawiać z Grasssem w Berlinie. Chwalił sobie pobyt w Polsce i rad by jeszcze — jak sam mówił — do nas przyjechać. Niewątpliwie po, by odświeżyć sobie i przypomnieć pejzaż polski, występujący na kartkach jego książki.

Czy więc „Kot i mysz”, powieść wydana w doskonałym tłumaczeniu Ireny i Ego Naganowskich, jest najbardziej reprezentatywną i charakterystyczną dla jego twórczości? Otóż, nie. Ponad wszelką wątpliwość najwybitniejszym utworem Grassa jest wydany wcześniej „Blaszany bebenek”. Wprawdzie i tutaj występuje tak znamienne dla autora „magia przedmiotów”, lubowanie się w dynamicznym opisie rzeczy, swoisty nadrealizm skąpany w realistycznym obrazie świata — jednakże „Kot i mysz” ustąpić musi „Blaszemu bebenkowi” pod względem siły wyrazu artystycznego i rozpiętości problematyki. Zarówno zamysł jak i realizacja tamtej powieści górują zdecydowanie nad walekami wydanego obecnie po polsku utworu. No cóż, póki co — cieszymy się z tego. Lepiej, że mamy takiego Grassa, niż gdybyśmy nie mieli żadnego.

Podobny kłopot mam również z „Trzema kobietami” Roberta Musila. Ten wiedeński pisarz, zmarły w 1942 roku na emigracji w Szwajcarii, przeżywał od paru lat prawdziwy renesans nie tylko na obszarze literatury niemieckiego języka. Jego główne dzieło „Człowiek bez przy-

miotów” (Der Mann ohne Eigenschaften), tłumaczone na francuski, angielski, włoski i hiszpański, uznane zostało za wielką powieść dwudziestowieczną i postawione w jednym rzędzie z najlepszymi pracami Marcellego Prusta, Tomasza Manna i Jamesa Joyce’a. Prawda, „Człowiek bez przymiotów” to powieść-gigant, licząca w oryginale około 1500 stron druku. Praca nad jej przekładem zajęła z pewnością kilka lat, kto wie, czy nie trzeba by zapracować do tego paru tłumaczy. Wiadomo nam, że Maciej Słomczyński już od ośmiu lat bledzi się nad przekładem „Ulissesa” Joyce’a i wcale jeszcze nie jesteśmy pewni, czy dzieło to ukaże się w najbliższym czasie. Łatwiej więc było wydać niewielki zbiorek opowiadań „Trzy kobiety” w przekładach trzech naszych tłumaczy: Teresy Jętkiewicz, Marii Kureckiej i Walentyny Kwaśniakowej, a poprzedzonych interesującym wstępem Ego Naganowskiego. I znowu pytanie: jaką zbiorów ten zajmuje pozycję w dorobku Musila?

„Trzy kobiety” (Drei Frauen) opisał Robert Musil w 1924 roku a napisał jeszcze wcześniej. Bohaterki tych opowiadań (Grigia, Portugalka i Tonka), przedstawiające sobą trzy całkowicie odmiennie osobowości, narysowane zostały wprawdzie piórem utalentowanego pisarza i czytelnik się z zainteresowaniem, jest to proza, wolna od manierizmu i ogłoszona u nas w blisko czterdziści lat po jej powstaniu, dowodzi w sposób oczywisty swojej żywotności artystycznej. Nie doszukamy się w niej naturalizmu, ekspresjonizmu, który rym tak bardzo obciążone są utwory powstające w tamtych latach, zwłaszcza na terenie literatury języka niemieckiego. Nie jest to jednak żadna rewelacja, i czytelnik, który sporo naczytał się o Musilu w pismach literackich, może się czuć z lekka zawiedziony, wyznając, że sam także się zawiódł. Zawsze sobie wyobrażałem, że prezentację Musila w języku polskim trzeba zacząć od „Człowieka bez przymiotów”. Skoro jednak nie było to możliwe, głosowałem za innym jego utworem, mianowicie za powieścią „Powikłania wychowanka Törlessa” (Die Verwirrungen des Zöglings Törless). Choć jest to rzecz napisana jeszcze przed „Trzema kobietami”, jej tematyka nasycona elementami społecznymi znacznie bliższa wydawać się musi dzisiejszemu czytelnikowi, niż omawiane tu opowiadania „Trzy kobiety”. W „Powikłaniach wychowanka Törlessa” Musil zademonstrował, na przykładzie swojego bohatera, profeszystowskiego model młodego człowieka, ową aurę pruskiego drylu, z której wywodzi się inne, ciężkie grzechy naszej epoki.

Doceniając w pełni inicjatywę „Czytelnika” (lepiej rydz, niż nie) muszę dolać cybry do tych, którzy z wyboru tej pozycji Roberta Musila nie są całkowicie zadowoleni. Oczywiście nie jest to dla wydawnictwa zebrażna ujmą, opowiadania zebrażne w tonie „Trzy kobiety” reprezentują doskonały poziom literacki. Niemniej wydają się one nieco pięknoduchowskie i nie poruszają nas, więc wyobraźni tak, jak tego oczekujemy od dzieł wybitnych pisarzy. Wyobrażam sobie natomiast, jakim wydarzeniem będzie u nas pojawienie się „Człowieka bez przymiotów”, który przecież kiedyś się ukaże. Czytałem tę powieść w oryginale i nie wątpię, że stanie się ona prawdziwą rewelacją.

Szkoda tylko, że na rewelację będziemy musieli czekać tak długo.



STANISŁAW KASZYŃSKI

GRAZ (II)

Odkąd poznałem skrawki Południa, jego niebo niezakłócenie rozpięte jednostajnym błękitem, i słońce, natrętne, niezmęczone, stwierdziłem zaskoczony, że chyba tych elementów brakowało mi do jakiejś pełni. Pod takim niebem i pod takim słońcem człowiek wyrównuje niedostatki rodzimego klimatu, staje się bardziej leniwy, lekkomyślny — wpływ wina — nie pałstwili się nad sobą i innymi, po prostu łagodnieje. Odnalazłem to ponownie w Grazu, który jest jakby forpocztą południowej sielanki, słoneczny, zielony, rozsiadły wygodnie w dolinie Muru, dudniący buńczucznie przez sam środek miasta. Jakoś zaraz po przyjeździe zetknąłem się z grupą dziennikarzy szwedzkich; stali wytrwale, czekając na autokar, w piekielnym skwarze, zalani oślepiającym światłem; nikt nie szukał schronienia w cieniu. Wówczas to przypomniał mi się finał ibsenowskiego dramatu, ów rozdzierający krzyk nadziei: słońce, słońce...

Z Linzu wywiozłem kolor szary, całą gamę szarych barw, a tutaj panuje zieleń, wyłącznie zieleń w rozmaitych odcieniach. Wydaje się jakby lasy, które zajmują połowę obszaru Styrii, wdarły się do jej stolicy, ściskając mieszkańców, wyznaczając im ledwie niezbędną minimum przestrzeni. Chodził się tu nieodmiennie pod rozłożystymi drzewami, jak w parku czy ogrodzie, nawet na wąziutkich uliczkach o małowidnych frontonach i zastępych w mroku podwórzach, roślinność zwisa gdzieś z góry, odejmuje murom ich ciężar i wiek. No bo i tu także wszystko, napięte w dodatku nastrojem natury odrzuca echem dziejów. Zatrzymuję się przy domostwie, gdzie mieszkał astronom Kepler, niedaleko wspaniała barokowa kolumna św. Trójcy, przy której onego czasu wielki kaznodzieja Abraham a Santa Clara wygłosił słynne kazanie o dżumie. Kościoły, pałace, tablice pamiątkowe... W ciszy kwiatów i krzewów pomnik Petra Roseggera, największego poety Styrii, zaświadcza o nieprzemijalności poezji, a dzieła mistrza baroku, J. B. Fischera w Grazu, zniewalają bogactwem wyobraźni. Nawet stara winiarnia — dławiący aromat ryb i pleśni — obwieszona jest wzdłuż zwilgotniałych belek konterfektami dawnych i dzisiejszych bywalców, które oddaje na kartonikach miejscowy maestro,

siedzący właśnie nad spienionym kufelkiem piwa.

Zieleń, symbol miasta, wtargnęła i w garderobę. W całej Austrii widywałem często mężczyzn ubranych w szary surdut z zielonymi wyłogami, który jest tutaj szarym strojem ludowym. Co istotniejsze, nosi się go na co dzień jak normalny garnitur, np. można spotkać wyższych i niższych urzędników w ten sposób odzianych i to bynajmniej nie z okazji szczególnych uroczystości. W tym aktywnym stosunku do tradycji ludowej, objawiającym się na wielu płaszczyznach życia zbiorowego, tkwi niebagatelny łącznik narodowościowy. Nie jestem zorientowany tak dalece, w jakim stopniu afirmacja wartości folklorystycznych jest wyrazem naturalnych potrzeb społeczeństwa czy też konsekwencją odpowiednich sugestii. Przychylniejszy się raczej do pierwszej hipotezy, chociaż zaleca się też „odgórnie” pielegnowanie zwyczajów i obyczajów ludowych! Przeglądałem dwie książeczki informujące szczegółowo, jak urządzać festyny i uroczystości ludowe według dawnego lokalnego ceremoniału. Zebrano tu śpiewki i toasty, pogrzebowe mowy i gadki, są dokładne przepisy karnawałowych korowodów i wiejskich wieczornic. Podręcznik — Jak zorganizować wzorową gospodę ludową — zaczyna się siedemnastowiecznym cytatem: „Gospoda daje pracowitemu człowiekowi wytechnienie, próżniakowi zajęcie, melancholikowi ucieczkę, obcemu gości — prawo, prawnikowi rozrywkę, uczonemu wesołość a mieszczaninowi zastępuje dworski festyn”. W grackim Muzeum Sztuki Ludowej ofiarowano mi niezwykle kalendarzyk wiejski, drukowany tu od setek lat i nadal znajdujący licznych nabywców (Styria ma w tym zakresie monopol na całą Austrię) — normalną informację kalendarzową zastępują tu barwne obrazy oznaczające święta, dni powszednie, stany atmosferyczne i wiadomości z astrologii. Wyznam, że ujęły mnie te rzeczy bardzo. Zrozumiałe, jaką atrakcję stanowią także imponderabilia dla turystów, żadnych zawsze autentyków ludowych, a przynajmniej udanych namiastek. W tej postawie dopatruję się jeszcze innych motywów; jest to bodaj czy nie dalekowzroczne rozeznanie sytuacji, jaka nam wszystkim grozi wskutek niwelującego i schematyzującego oddziaływania cywil-

zacji, niszczącej nader skutecznie właśnie wartości folklorystyczne. W związku z tym powstał w ostatnich latach projekt urządzenia w Grazu ogólnoaustriackiego muzeum na wolnej przestrzeni, w którym każda dzielnicą prezentować będzie swoją sztukę ludową.

Każde miasto ma swoją Piotrkowską. Nad Styrią góruje majestatyczny szczyt Dachsteinu, nad Grazem — Góra Zamkowa, podobna nieco do krynickiej Góry Parkowej. Z dawnego zamku ocalały jedynie imponujące rumowisko i dziedziniec otoczony blankami, który służy latem pięknej muzie Melpomenie. A gdzie się zajdzie na zielonym spacerze, widać czworokątną wieżę zegarową z filuternym daszkiem spadkowym i kieszonkami mansardy, ulepioną jakby z marmuru, i, oczywiście, wyjętą z bajki. Graz, niedysiejszy słowia-



ski „gradec”, przed pół wiekiem jeszcze przytulna przystań emerytowanej beamterii i korpusu oficerskiego Ferenc Joski (jak mawiali Węgrzy), żartobliwie zwana „Pensionopolis” — jest dziś drugim co do wielkości miastem Austrii (235.000). Z uniwersytetem, szkołą muzyczną — obficie uczelnie chętnie i licznie odwiedzane przez cudzoziemców — z interesującym (operowo - dramatycznym) teatrem. Byłem na przedstawieniu operowym „Sen życia” F. Mixa, miejscowego kompozytora z librettem opartym na sztuce „wschodniej” Grillparzera (egzotyczne perypetie pałacowo-haremowe). Te prapremiere serwowano w obecności prezydenta Republiki — otwierała coroczny Festiwal — i tu ogromnie modne te imprezy — trwający około trzech tygodni. Opera — co robić, taki już jestem — spopieliła mi pyszną zieleni Grazu i dopiero następnego dnia odetchnąłem.

W marmurowej sali pałacu Eggenberg, płonącej setkami świec, w ciży drzew, grano Bacha na starych instrumentach. Kolor, światło, olśnienie. Nie chcę kaleczyć słabą pamięcią bachowskich strof Gałczyńskiego, warto je jednak powtarzać, wracać do nich, kiedy brakuje muzyki.

JERZY WALEŃCZYK

ANACHRONICZNIE

I

To w salonach hipotecz. To nagle abstrakcje,
To śpiew nieświadomy za willą, Citroen.
To metafizyka kocha wieczność i Edyp,
To Dandy spod igły, Milutki Oslolek

Wiesz go. Newralgiczny, bo mu w żłobie dano
Wiążkę konsternacji, garść melancholii,
Jego pan gra w domino, gigantyczny strateg,
To maligna, to zastrzyk, zaufania kredyt.

Może iść. Astronom celebryta kataklizm,
O, królowo Grecji, o, księżniczko, widzisz
Queen Elizabeth w hipiejszej prostracji.

Jak ślicznie sztych wargę. Jak chwał,
Ukowno to us, hidden, thankul, audible.



II

To w salonach hipotecz uperfumowani
I Christine Keeler tańczy z bogiem wojny.
Ich struktura jest ludzka. Nagość, strict fair,
Wizyty, rewizyty, highly, dangerous chairs,

I noc jest oczywiście. Noc jak u Merwina,
Labirynt słońce i planet „zieht uns hinein”,
Bo wieczność jest kobiecy, chcesz, to sprawdź,
Nowy Koperniku, Formo, please, try,

I dzień jest oczywiście. Inwencja i cisza.
I twarze śmiertelne. Mój dom
Musi mieć drzwi. And who dwells in me?
Piosenka swobodna, prosta i sielska?

Tę, spiesz się. Salony w półcieniu, antrakty,
Historii, w drodze, w drodze i marcie na drodze,
Abyś na własne musiał patrzeć sprawy,
Abyś tych nie poznał, którychś nieciekawych.

DO...

Twój pan jako dziecko kochał motyle,
Prześladowane słońcem, przestrzenią neutralną,
Nad Sycylią poznał strach. Angst ist erkennebar,
Sytuacyjne fale nie zakłócały mu odbioru.

Dżdżysty atak nieba, roześmiane morze,
Canadian, the Devils, elect, why you tremble?
Kanadyjczyce ignorują śmierć?
Observe, observe.

Der Ziel ist hell und klar. Nie ma dywizjonu 303,
Nie ma podkarpackich chłopaków, lord, say,
What it means, really, Victory?
Jakiś cmentarz klopotliwy, niebo otwarte.

Jasne, czujne, measure lost, atak dżdżysty
Lza za lza, Träne folgt der Tränen,
Pod wyschniętą kością nurkują glisty.

Twój pan jako dziecko kochał starą księgę,
Götter, Geschichte, liebt die Parodie, a Goethe,
„Wer dich nicht kennt, der fühlt dich nicht”.

MAREK WAWRZKIEWICZ

KSIĄŻKI
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO

Po opublikowaniu programów sezonu muzycznego i teatralnego w Łodzi informujemy naszych Czytelników o planach Wydawnictwa Łódzkiego.

Wydawnictwa nie mają — w przeciwieństwie do teatrów — swoich sezonów. Ma to swoje dobre strony, ponieważ czytelnicy są przez cały rok zaopatrywani w świeżą produkcję wydawniczą, ale powoduje niekiedy niezbyt harmonijne rozłożenie różnych gatunków literackich w przeciągu całego roku. Tak właśnie wygląda sytuacja w Wydawnictwie Łódzkim: po takich pozycjach, jak niedawno wydane książki Drzewińskiego i Gomolińskiego, stało już bardzo niewiele beletrystyki; do końca br. przeważały w planie Wydawnictwa Łódzkiego poezja i literatura społeczno-polityczna. Gatunki te jak powszechnie wiadomo, nie cieszą się największą popytnością, radzę jednak pytać w księgarniach o nowe książki WL, bowiem znajdują się wśród nich pozycje bardzo interesujące. Najprawdopodobniej równoległe z niniejszym felietonem ukaza się w witrażach księgarń dwie interesujące prace: zbiór legend o łęczyckim Borcu, które zebrał Włodzimierz Piotrowski pt. „Dole i niedole diabła Boruty” oraz trzecia już „szkatułka” Biblio-

teki Poetów z datą roku 1963. Zawiera ona będzie szereg tomików Jana Czarnego, Ewy Dąbrowskiej, Jerzego Feliksiaka, Stanisława Kaszyńskiego, Romana Łobody, Horacego Saffina, Janusza Skoszkiewicza, Bernarda Sztajnerta, Jerzego Tyneckiego i Jerzego Wilmańskiego. Mimo stosunkowo wysokiej ceny warto nabyć te publikacje — daje ona przegląd dorobku poetyckiego ostatnich lat aż dziesięciu autorów. Nieco później ukaza się dwa tomy satyr: Igora Sikirzyckiego „Ostroń” i „Świeżo napisane” i Tadeusza Głogiera „Moje boje”. Wśród następnych książek wyłonić warto pozycje, które z pewnością będą się cieszyły sporą popularnością. Pierwsza to zbiór esejów o życiu kulturalnym Łodzi w latach 1945 — 1948 pt. „Tranzytem przez Łódź”. Jest to praca zbiorowa, a wśród autorów figurują m. in. takie nazwiska, jak: Matuszewski, Rudnicki, Chałasiński, Woroszyński, Drewnowski i inni. Druga jest kontynuacja serii „Sylwetki fabrykantów łódzkich”, i nosi tytuł „Fortuna rodu Krushe”, a jej autorem jest Monika Warneńska. Można się spodziewać, że bestsel-

Ierem wydawniczym będzie niewątpliwie autor pamiętnik oświęcimski pt. „Szukajcie w popiołach”. Jest to opracowanie i przekład z hebrajskiego znalezionego w Oświęcimiu rękopisu. W roku 1963 otrzymamy także zbiór niebanalnych fotografii Wacława Bilinskiego „Łódź, jaką znam” oraz Lecha Karwackiego „Historie łódzkiej organizacji PPS-Lewicy” obejmującą całokształt dziejów tej partii. Niewielką ilość beletrystyki reprezentują powieści Apoloniusza Zawilskiego „Szkłane zbrocze”, której akcja rozgrywa się w latach międzywojennych w środowisku gimnazjalistów prowincjonalnego Łucka oraz powieść historyczna autora głosnych przed paroma laty „Stenogramów Anny Jambor” Kazimierza Bierońskiego, „Etalamis”. Interesującą zapowiada się almanach pisarzy kieleckich noszący tytuł „Nad Nidą” i zbiór anegdot żydowskich „Przy szabasowych świecach”, które zebrał Horacy Saffin. Na tych właśnie pozycjach zamyka się plan wydawniczy na rok bieżący. O książkach, które otrzymamy w roku przyszłym poinformujemy naszych czytelników w późniejszym cza-

sie. Warto jednak już teraz zasymalizować niektóre z listy obejmującej przede wszystkim tematykę społeczną i prezentującą bardzo wielu łódzkich autorów. Otrzymamy więc powieści Władysława Rymkiewicza, Leona Gomolińskiego, Bernarda Sztajnerta, Tadeusza Chrościelewskiego, Danuty Bienkowskiej, Andrzeja Brychta i Romana Łobody, tomy opowiadań Jana Huszczy, Grzegorza Timofiejewa, felietony Andrzeja Ostoi oraz jak co roku, nową szkatulkę z serii „Biblioteka poetów”.

Niezależnie od tych wszystkich pozycji, których rękopisy złożone zostały w Wydawnictwie Łódzkim, wejdzie prawdopodobnie do planu wydawniczego na rok 1964 kilka książek autorów łódzkich, pracujących dla Wydawnictwa Łódzkiego.

odpłosu str. 5



Szkielet w jamie grobowej

Fot.: J. Augustyniak

Dokończenie ze strony 1

ślupek z liczbą 220; to jeszcze kawałek. Droga była teraz twarda, mało widać jeźdźców, bo tu i ówdzie porosła mchem. Las rzadki, poprzerastany czasem kępą paproci. Weszliśmy na dużą polanę. Wszędzie zwalone drzewa, gotowe sęgi przygotowane do transportu. Droga przeszła w piach, porznięty protektorami opon. Jeszcze zakręt i wielka brama z bali brzoźowych, napis z małych gałązek: „Kęgi kamienne”. Cały teren ogrodzony, to przecież także rezerwat przyrody. Jesteśmy w domu. Idziemy wydeptaną ścieżką, która przechodzi przez środek jednego z kręgów. Duży krag, o średnicy ok. 20 m wyznaczony jest stojącymi na jego obwodzie potężnymi kamieniami (stelami), środek zajmują największy głaz. Z daleka, spoza zwałow jasnego piasku słychać gwar rozmów. Cześć! niesie wiatr, Ewa, Misia i Aldek prowadzą nas do obozu. Witamy się z kierownikiem ekspedycji dr Kmiecińskim.

Cmentarzisko kurhanowe w Odrach jest pięknie położone w sosnowym lesie o ok. 50 m od Wdy (Czarnej Wody). 20 kurhanów i 12 kręgów kamiennych wtopionych w bujną przyrodę. Wielkie dyski kręgów wyrastają niespodziewanie z wysokiej trawy i zarośli, kurhany większe i mniejsze są lepiej widoczne. Obiekt imponujący.

Fantastyczne — wrywa nam się co chwila, jakąż wielką wspaniałą zagadką mamy do rozwiązania. Obiad, przyrządzony przez archeologicznego globtrottera — kucharza p. Wilka, który już dobrych parę lat bierze udział w pracach ekspedycji archeologicznych, smakuje wszystkim. Idziemy nad rzekę. Ostrzeżono nas, żeby nie pokazywać się tam bez dubeltówki, tyle komarów, ale nie było tak strasznie. Niestety, z kąpieli nici, woda brudna, dno porośnięte szuwarami, płytko.

— Gdzie tu się kąpiecie — pytamy pasącego krowy dzentelmena — a niedaleko w kanale. A tam to już dzisiaj nam się nie chce iść.

Nazajutrz zbudził mnie dziwny dźwięk. Dopiero po kilku minutach skojarzyłem sobie, że to patelnia uderzana patykami. Otdał przez miesiąc będziemy się budzić przez patelnię. By-

ło wpół do szóstej. Aldek otworzył jedno oko. Krzyśtof drugie. Rozsznurowałem namiot. Świt w Borach Tucholskich to zjawisko, które się pamięta.

O szóstej zesłaliśmy się na wykopie. Kierownik rozdzielał zadania. Na rowcach, mopedach, motocyklach zjechali robotnicy. Ko paliliśmy krag kamienny nr 1 i dwa kurhany. Część kręgu miała już zdjętą wierzchnią warstwę darni i odsłonięty duży bruk kamienny skoncentrowany wo-

dół, nie myśląc o reszcie. Nie trzeba chyba podkreślać ile pominięto przy tym ważnych szczegółów, jak mogły wyglądać wyjaśnienia funkcji kręgów i kurhanów. W tym wyjaśnianiu brali zresztą udział nie tylko archeolodzy. Miernicy poznański Stephan po dokonaniu pomiarów całego stanowiska dla potrzeb konserwatora zabytków, wysunął hipotezę, wg. której kręgi stanowiły zegary słoneczne. Argumentem był to fakt, że 21 czerwca słońce wschodzi na li-

STUDENCKIE ARCHEOLOGICZNE LATO

kół steli środkowej. Cze- kało nas najniebezpieczniej- sze zadanie: rysowanie owych kamieni. Na papierze milimetrym w lewym górnym rogu arkusza napisałem: ODRY, POW, CHOJNICE, STANOWISKO NR 1, CMENARZYSKO KURHANOWE.

III

Bomba wybuchła koło jedenastej. Kurhan Ewy był wykopaliskowy, zdjęto już murki profilowe przecinające go na krzyż, gdy obecny przy podczyszczaniu całej powierzchni dr Kmieciński krzyknął nagle: stop, ostrożnie! Zaalarmowani przybiegliśmy wszyscy. Na żółtawym piasku rysowały się wyraźnie, ukośne, równoległe, ciemne pasma. Zajmowały tylko dwie południowe ćwiartki kurhanu. — Mamy rewelację — powiedział doktor — to ślady orki. Pięknie uchwycone. Dopóki nie ma silnego słońca trzeba zrobić zdjęcie. Dopiero teraz uświadomił mi sobie, jakie mieliśmy wielkie szczęście. Przecież o parę cm głębsze zebranie ziemi i nic by z tego nie zostało.

Rozstrzelały się Exakty i i Contaxy uwieczniając ślady orki na kolorowym filmie. Po obiedzie, po godzinach normalnej pracy zabraliśmy się do rysowania. Nie można było przecież zostawić tak cennego odkrycia na pastwę deszczu. Naniezione na papier milimetry dokładne wymierzone ślady orki stały się faktem naukowym. Faktem wielkiej wagi w rękach polskiej archeologii.

Cmentarzisko kurhanowe w Odrach już dawno, bo w I połowie XIX wieku interesowało badaczy, wówczas niemieckich. Niestety, jednak ani metody pracy, ani wnioski przez nich wysnuwane mało miały wspólnego z prawdziwą nauką. Przy rozkopywaniu np. kurhanu wiedząc, że jama grobowa najczęściej usytuowana jest w jego centrum, kopali tam właśnie głębokie

wianką. To wszystko wleźliśmy po pracach w Węsiarach. Ślady orki w Odrach zostały znalezione pod kurhanem. Rola musiała być zatem uprawiana przed jego usypaniem. Jeżeli kurhan pochodzi z okresu rzymskiego, mamy więc ślady orki z wcześniejszego okresu tzw. lateńskiego (400 p.n.e. — O), a więc kapitalny dowód na to, że wówczas uprawiano tu rolnictwo, a więc jeszcze jeden dowód na to, że przebywali tu Słowianie, których rolniczego charakteru nikt nie kwestionuje.

Długo siedzieliśmy tego wieczoru dyskutując namiętnie o nowym odkryciu. Ewa była bohaterką dnia, przecież odkrycie nastąpiło w jej kurhanie.

Nie przebrzmiały jeszcze sensacje z kurhanu Ewy, a już o nowe postarała się Misia. Wyluskiwała z czarnej jak smoła ziemi w swoim kurhanie „nieprzyswoite” ilości zabytków. Fibule (pragrafki) paciorki, prześliki. To wielka emocja, kiedy w pionowej ścianie profilowej kurhanu pokazuje się pokryty zieloną „patyną” dziejów kawałek metalu. Emocja wzrasta z każdą odrzuconą garścią ziemi, ba, nawet grudką ziemi i osiąga szczyt, gdy na umorusanej dłoni załśni pełnym blaskiem „wspaniała” fibula. Właśnie w takiej sytuacji zastała nas grupa spływowców, dowiedzieli się w okolicy, że tam w lesie „kopią” i przyszli zobaczyć. Lepiej lekcji pogładowej archeolo-

reakcje od podziwu (patrz, pan jak oni to ładnie odkryli, jaka to misterna robota, żeby nie uszkodzić) do pogardy (fe, tak się grzebać w tych kościotrupach, chodź Tadek do domu).

Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej z Bydgoszczy przyjechał zupełnie niespodziewanie starą Tatrą, ku zdumieniu Leszka, który jako „samochodziarz” oczekiwał „czegoś” lepszego. Po obejrzeniu stanowiska, wprowadzony w problematykę badań przez doktora, przewodniczący przy czarnej kawie podanej w naszym „kuchennym apartamencie”, długo rozmawiał z nami. Powstały szerokie plany, które gdy zostaną zrealizowane stworzą z Odrów jeden z najpiękniejszych rezerwatów archeologicznych w Polsce.

Następny tydzień to ostatni w Odrach. Prace w kręgu i na kurhanach dobiegały końca. Ustawiano z powrotem przewrócone stele, rekonstruowano nasypy kurhanu. Po zarośnięciu darni laikowi trudno będzie poznać, który kurhan był kopany, który nie. Tylko wprawne oko archeologa wynajdzie drobne ślady pozwalające to określić. Zrekonstruowane w ten sposób cmentarzysko zostanie udostępnione zwiedzającym.

Leszek dostał ostatnie zadanie: przekopać 25 m² terenu płaskiego. Miało to dać odpowiedź na pytanie, czy tu podobnie jak w Węsiarach mamy do czynienia z grobami popielnicowymi ludności miejscowej, słowiańskiej. Rezultat przeszedł najmielsze oczekiwania. Na owych 25 m² odkryto 17 grobów, w tym trzy szkieletowe i 14 popielnicowych. Leszek promieniał, z dumą prezentując piękne fibule — zapinki, sprzączkę od pasa, naszyjnik i wiele innych przedmiotów. Sprawdziła się więc teza doktora Kmiecińskiego. Jeszcze jeden, zakorzeniony od lat fakt historyczny zmienił radykalnie swe oblicze na podstawie nowych, przekonujących dowodów.

Było już koło drugiej, zbieraliśmy się do zejścia z wykopu, kiedy zauważyłem, że doktor stoi dłuższą chwilę w kręgu i patrzy na ziemię. Wyczułem, że coś się kłóci, że chwilę zwolnił nas do siebie. To jama grobowa — powiedział wskazując na podłożną plamę jaśniejszej ziemi, „jutro powinniśmy się przekonać co kryje w sobie. Patrzyliśmy, usiłując przebić powierzchnię ziemi...”

IV

Następny dzień zaczął się oczywiście od jamy grobowej. Pierwsze pół metra w dół — normalnie tzn. szpadłem, później (ostrożność i cierpliwość to podstawa pracy archeologa) poszły w ruch małe łopatk i „szpaczelki”. Kopaliśmy już dobre dwie godziny i nic. Zaczęło się niepokoić, ale właściwie bez powodu. Przecież bardzo często zdarza się, że szkielet bywa zupełnie zniszczony. Krzyśtof zezłościł się i wskoczył sam do wykopu. Śmiało się z jego zapału, ale on śmiał się ostatni. Po paru minutach z głębokiego dołu dobiegł nas ryk: Jeeeeest! Pierwsza ukazała się czaszka. W ciągu godziny odsłonił się cały bardzo dobrze zachowany szkielet. I jeżeli dotychczas zainteresowanie miejscowej ludności było duże, to teraz wzrosło niepomniernie. Rowerami, mopedami, motocyklami (po trzech na jednym), piechotą napływały na wykop masy ludzi. Kobiety dostawiały od „dzieży z ciastem” w fartuchach, z dziećmi na rękach, starcy, każdy przyszedł zobaczyć szkielet człowieka, który żył i działał tu przed 1500 laty. Po południu, kiedy wiedź rozszalała się dalej, między Czerstkiem a naszym obozem utworzył się most samochodowy. Furgonetka nadleśnictwa obracała kilka razy przywożąc ciekawych. Komentarzy do odsłoniętego szkieletu, jego wieku, płci, wzrostu, siły itd. nasłuchiwało się do woli. Przebiegały w nich wszelkiego rodzaju

Wieczorem spacer, żegnamy Odrę. Ciepła bezchmurna noc. Wyszliśmy na piaszczystą drogę i stanęli jak skamieniały. Wspaniałe czyste, olbrzymie, pomarańczowe księżyc wisiał nad czarnym pasmem lasu. Widok był tak urzekający. Że na kilka minut wszyscy zamilkli. Pomyśleliśmy z Leszkiem o tym samym: mamy kolorowe filmy. Po chwili ustawione na statkach Zorka i Exakta chwytaly w obiektyw kapitalna kompozycję nocy. Księżyc pozostał z nami do końca wędrowki, gdy przez zarośla dotarliśmy nad Czarną Wodę. Szumiła cicho, poruszając szuwarami i sitowiem. Dużo wody ułknęło od czasu, gdy ludzie, których dzieje odtwarzamy, przychodzili nad jej czarną toń.

JERZY AUGUSTYNIAK

TRZY ZASADNICZE WARUNKI

Dokończenie ze str. 2

W związku z tym przypomnia mi się szeroka dyskusja sprzed wielu lat, gdy nasze piłkarstwo ponosiło niechlubne porażki na arenie międzynarodowej. Wielu pseudodziałaczy starało się udowodnić, że Polacy to są antytalenty piłkarskie w porównaniu do innych narodów. Na szczęście nie uwierzono im. Prawdziwi działacze zakasali rekawy, wyeliminowali błędy przeszłości, zmieniono system szkolenia, otoczono troskliwą opieką młodzież piłkarską, a dziś zbieramy owoce ku radości całego społeczeństwa.

W tym pięknym nowo otwartym lokalu klubowym stworzonym wielkim wysiłkiem i nakładem pieniędzy mam możliwość obserwować życie wewnątrzklubowe i z przycięcia się dnia na dzień polebiać się moje rozczarowanie. Dla mnie klub winien być miejscem, gdzie młodzież

informacje i zachełki

Ciekawie i bogato zapo- wiadają się Dni Kultury i Nauki Radzieckiej w województwie łódzkim. Przewiduje się tu m. in. 600 odczytów, pogadanek oraz gawęd poświęconych nauce i kulturze ZSRR. Ponadto mieszkańcy naszego województwa obejrzą występy zespołu artystycznego polnocnej grupy wojsk radzieckich oraz koncerty 50 listów Opery z Nowosybir ska.

Prof. dr Aniela Kowalska z Uniwersytetu Łódzkiego odnalazła w zasobach rękopiśmiennych Biblioteki Zamojskich nieznaną powieść Juliana Ursyna Niemcewicza. Powieść nosi tytuł „Powóz złamany”. Sprawa odnalezienia rękopisu zreferowana została niedawno na posiedzeniu Łódzkiego Towarzystwa Naukowego.

„Udało się nam w ostatnich dwóch latach zapewnić wykształcenie zawodowe bądź ogólnokształcące w szkołach średnich różnych typów dla 97 proc. łódzkiej młodzieży kończącej szkołę podstawową”. Te i inne ciekawe informacje dotyczące polityki oświatowej w Łodzi znaleźliśmy w artykule Jana Pakuły, kierownika Wydziału Kultury, Oświaty i Nauki Komitetu Łódzkiego PZPR — opublikowanym w „Głosie Robotniczym” z dnia 23 września. Warto przeczytać.

Na pewno nie będzie przesady w stwierdzeniu, że najatrakcyjniejsze formy pracy popularyzatorskiej stosuje Łódzkie Muzeum Archeologiczno-Etnograficzne. Pisaliśmy już nieraz o ciekawych wystawach w podziemiach gmachu — obecnie odnotowujemy inną atrakcję. Będzie nią kino „Stara Baśń”, którego otwarcie zbiega się z otwarciem przy Muzeum Uniwersytetu Powszechnego. „Stara Baśń” wyświetlać będzie raz w tygodniu filmy o tematyce historycznej. (Archeologia, etnografia). Myślimy, że z tej innowacji skorzystają przede wszystkim łódzkie szkoły.

J. W.

TURNIEJ

„CZERWONEJ RÓŻY”

ZSP-Klub Studentów Wybrzeża „ZAK” w Gdańsku i KW ZMS ogłaszają IV Ogólnopolski Turniej Poezji Społecznej Zaangażowanej o nagrodę „CZERWONEJ RÓŻY”.

Ocenie Jury podlega zestaw trzech niepublikowanych wierszy (pod gołymi). Każdy uczestnik Turnieju może nadesłać dowolną ilość zestawów. Turniej ma charakter otwarty. Prace należy nadysłać: Rada Naczelna ZSP — Komisja Kultury — Turniej „Czerwonej Róży”, Warszawa, ul. Ordynacka 9.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 października 1963 r.

Jury przyzna nagrodę „Czerwonej Róży” w wysokości 5.000 zł, pierwsze wyróżnienie w wys. 3.000 zł i drugie wyróżnienie w wys. 2.000 zł.

TKANINY też trzeba LECZYĆ

To zdanie tylko na pozór wygląda paradoksalnie. Zabytkowe tkaniny — gobeliny, arras, dywany, stuly — wymagają opieki fachowca, „lekarza” — konserwatora, wymagają specjalnych warunków, specjalnych metod „leczenia” i „profilaktyki”.

Tym właśnie zagadnieniem wyłączone zostało odbyta niedawno w Łodzi ogólnopolska konferencja naukowa zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, Ośrodek Dokumentacji Zabytków i Muzeum Historii Włókiennictwa. Problemy konserwacji zabytkowych tkanin i skór, jakkolwiek wcale niebiałe, bo interesujące wszystkie chęć muzeów w Polsce, nie doczekały się dotychczas naukowego opracowania. W wielu muzeach sprawy metod konserwacji i przechowywania zabytkowych tkanin sprawiły wiele kłopotu. Niejednokrotnie już kwestia odpowiedniego zwinięcia dywanu czy gobelinu urosła do rangi problemu. Nie zatem dziwnego, że na łódzkiej konferencji zaproszono nie tylko wybitnych naukowców ale i dziesiątki laborantów, szeregowych pracowników muzealnych, a nawet majstrów specjalistów, np. pralniczy. Tak więc konferencja obok naukowego, posiadała i drugi, można rzec, instruktażowy charakter.

Nie dziwi nikogo fakt, że tego typu narada naukowa (notabene, pierwsza w Polsce) miała miejsce w Łodzi, a jako jeden ze współorganizatorów figuruje Łódzkie Muzeum Historii Włókiennictwa. Tradycje naszego miasta jak najbardziej predestynowały Łódź do roli gospodarza tego zjazdu naukowców i konserwatorów. Zresztą pozycja Łodzi na zjeździe nie ograniczała się jedynie do pełnienia honorowego domu. Z 21 wygłoszonych referatów i komunikatów naukowych 9 opracowali naukowcy łódzcy.

Uczestnicy zapoznali się również z referatem węgierskiego naukowca Waltera Gygory Endre na temat stanu badań nad barwnikami zabytkowych tkanin oraz z referatem Manfreda Richtera z NRD, który mówił o konserwacji sztandarów miejskich w Muzeum Historycznym w Berlinie. Analogicznym problemem dotyczącym konserwacji sztandarów miejskich omawiał również

polski referat mgr Rudniewskiego. Zestawienie obu tych prac dało zapewne uczestnikom konferencji wiele materiału do ciekawych konfrontacji metod i osiągnięć. Na obu zagranicznych referatach nie kończy się wszakże lista zagranicznych naukowców. Udział w obradach konferencji zapowiedzieli bowiem specjaliści z Związku Radzieckiego i USA, Szwecji i Belgii, Czechosłowacji, NRD, Węgier.

Obrady podzielono na cztery specjalistyczne sesje, którym przewodniczyli wybitni naukowcy określonych dziedzin. I tak sesji dotyczącej analizy stanu zachowanych tkanin przewodniczył prof. dr Tadeusz Jedryka — dyrektor Instytutu Włókiennictwa w Łodzi. Sesji dotyczącej mechanicznej i chemicznej konserwacji tkanin przewodniczył prof. dr Józef Majzner z Politechniki Łódzkiej. Sesji dotyczącej konserwacji skóry przewodniczył mgr Zdzisław Kaszuba — dyrektor Instytutu Skórzanego w Łodzi. Sesji dotyczącej tkanin artystycznych przewodniczył prof. Bohdan Marconi z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Nawet dla laika jest oczywiste, że łódzcy naukowcy, łódzkie placówki naukowe odgrywają w dziedzinie konserwacji tkanin i skór rolę czołową. Wiemy, że jednym z celów konferencji było wyłożenie postulatów badawczych, związanych z konserwacją, wyłożenie tematów dotychczas nie poruszanych, na które mogłyby odpowiedzieć w ramach prac magisterskich lub doktorskich młodzi naukowcy. Ale tu paradoks. Właśnie w Łodzi nie kształcą się konserwatorów tkanin. Łódź pozabawiona jest praktycznie możliwości wychowania sobie kadry młodych naukowców i praktyków. Felietonu tego nie zamknijmy jednak tym niezbyt optymistycznym akcentem. Otóż prowadzone są rozmowy, które mamy nadzieję, doprowadzą do tego, że na Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi znajdzie się czas i miejsce na wykłady z dziedziny konserwacji tkanin. Jestem optymistą — może za parę lat będziemy już mieli nie na Politechnice, a właśnie na WSSST katedrę konserwacji tkanin — jako, że praca konserwatora więcej ma wspólnego z pracą artysty niż inżyniera włókiennika.

Dalszy ciąg ze str. 1

Tak to przed laty siedemnastu, w marcu roku 1946, powstało Łódzkie Towarzystwo Naukowe. Jego prezesem został nieżyjący już dzisiaj, znany fizyk — prof. Marian Grotowski, a wkrótce — prof. Tadeusz Kotarbiński, piastujący tę godność do dnia dzisiejszego.

Z kroniki faktów i liczb: W ciągu 17 lat istnienia Towarzystwa, przedstawiono na forum uczonych i przedyskutowano ponad 900 rozpraw naukowych. Większość z nich wydano drukiem w 425

Na

tomach, stanowiących dorobek edytorski LTN.

Towarzystwo liczy 200 członków, w tym czwarta część zamiejscowych. Dzieli się na pięć wydziałów: Wydział I — Językoznawstwa, Nauki o Literaturze i Filozofii, Wydział II — Nauk Historycznych i Społecznych, Wydział III — Nauk Matematycznych - Przyrodniczych, Wydział IV — Nauk Lekarskich i Wydział V — Nauk Technicznych.

Ogarnia więc Towarzystwo komplet dyscyplin naukowych, występujących w środowisku łódzkim. Umożliwia w ten sposób kontakty między naukowcami pokrewnych specjalności, rozlokowanych w różnych uczelniach. Np. chemicy z Uniwersytetu, Akademii Medycznej i Politechniki należą do Wydziału III, tam spotykają się na posiedzeniach, wymieniają poglądy. Nie ma w Łodzi drugiej takiej „plaszczyny porozumienia”.

Najlepiej świadczy o Towarzystwie jego działalność wydawnicza. LTN zajmuje pod tym względem drugie po Poznaniu miejsce w kraju. Pierwsze trzy wydziały dorobiły się już kilkunastu wydawnictw ciągłych, w rodzaju „Acta Archaeologica”, „Acta Anthropologica”, „Acta Geographica”, itp. Nie trzeba wyjaśniać, że w miarę upływu lat każde takie wydawnictwo nabiera coraz lepszej marki na rynku naukowym i coraz bardziej się liczy.

Pozycję wyjątkową, rolę inspiratora myśli badawczej w całym kraju, potrafiły zająć takie wydawnictwa, jak: „Przegląd Socjologiczny”, „Prace Polonistyczne”, „Rozprawy Komisji Językowej”, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” i „Biuletyn Peryglajny”. Przy czym dwa ostatnie spośród wspomnianych, pełnią rolę szczególną, są w swojej dziedzinie najważniejszymi na świecie. Każdy naukowiec poczytuje sobie za zaszczyt zamieszczenie artykułu w „Zagadnieniach” czy „Biuletynie”. Nic więc dziwnego, że redakcje przyjęły za zasadę drukowanie pracy w językach „kongresowych” co jest zresztą najlepszym dowodem ich międzynarodowego charakteru. Przykładowo: w 10 dotychczas opublikowanych tomach, „Biuletyn Peryglajny”, będący równocześnie organem Komisji Geomorfologii Peryglajnej Międzynarodowej Unii Geograficznej zamieścił 145 prac, w tym 103 autorów pozalódzkich, a w tym — 74 autorów zagranicznych.

Cenione są również za granicą zeszyty obcojęzyczne LTN — „Bulletin de la Societe de Sciences et des Lettres de Łódź”, zawierające streszczenia najciekawszych prac naukowych przedstawicieli naszego ośrodka. Zeszytów takich

ukazuje się od kilku do kilkunastu w ciągu roku.

Streszczenia i omówienia prac publikuje się również w serii „Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń”.

Stąd, z Towarzystwa, wiodą się prace, które zdobyły potem duży rozgłos. Wystarczy wymienić chociażby „Traktat o dobrej robocie” prof. Kotarbińskiego, tu przedyskutowany i wydany w roku 1955 w Łodzi (II wydanie — „Ossolineum” 1958).

Od dwóch lat wiele uwagi przywiązuje LTN do upowszechniania nauki. O ile wydawnictwa specjalistyczne ukazują się zwykle w ilości 500—700 egzemplarzy i służą zaspokojeniu potrzeb wąskiego grona fachowców, o tyle rozpoczęta w roku 1961 seria „Szlakami nauki” osiągnęła nawet w jednym przypadku nakład 20 tysięcy. LTN stara się w tych wydawnictwach łączyć wysoki poziom z przystępnością i przejrzystością treści. Dobrze przysługują się sprawie popularyzacji staranna i żywa szata graficzna.

Zresztą tę zasadę stosuje się również coraz częściej w odniesieniu do wydawnictw ściśle naukowych. Przykładem może być praca W. Michowicza „Walka dyplomacji polskiej prze-

forum

ciwko traktatowi mniejszościowemu w Lidze Narodów w r. 1934”.

Dotychczas w serii „Szlakami nauki” ukazały się 4 pozycje — „Tryb życia chorego na serce” J. Borowskiego, „Parki Łodzi” pod red. J. Mowszowicza, „Zabytki Ziemi Wieluńskiej” Zb. Cieklińskiego i ostatnio „Krajowe rośliny trujące” St. Bagińskiego i J. Mowszowicza, zaś w przygotowaniu jest „Dawna Łódź w obrazach i opisach” — J. Popławskiej oraz „Planowanie w gospodarce kapitalistycznej” J. Tądręja.

Działalność popularyzatorską uzupełniają odczyty, wygłaszane przez wybitnych specjalistów 2 razy w tygodniu. W I półroczu br. największą frekwencją cieszyły się cykle „Człowiek w zdrowiu i chorobie”, „Psychologia na co dzień” i „Ludy świata”, które gromadziły na każdym odczycie powyżej 80 słuchaczy. Cichym marzeniem sekretarza generalnego jest dotarcie do małych miasteczek Ziemi Łódzkiej, nie z odczytami, bo takie się tam odbywają, lecz z ideą organizowania stowarzyszeń miłośników nauki. Te piękne plany, wobec natężenia innych obowiązków, pozostają na razie jednak w sferze projektów.

Trudno sobie wyobrazić, by wobec „konkurencji” potężnych, wyższych uczelni, dysponujących funduszami, bibliotekami i aparaturą, Towarzystwo spełniało rolę organizatora i koordynatora badań naukowych, na terenie miasta. Nie o to zresztą chodzi. Wystarczy, że czasem podczas dyskusji naukowej narodzi się jakiś cenny pomysł, że zachęta do pracy jest możliwość opublikowania wyników badań w cennym wydawnictwie.

W jednym wszakże zakresie inspiratorska rola Towarzystwa jest wyraźna. Mam na myśli różnorakie badania nad regionem łódzkim. Zaczęło się tuż po wojnie poparciem dla prac nad „Atlasem regionalnym” i „Słownikiem historycznym nazw miejscowych okolic Łodzi”, dojdzie, być może w niedługim czasie, do opracowania dzieła bez precedensu — 4-tomowej monografii łódzkiego ośrodka naukowego.

Zresztą słowa „pomoc”, „inspiracja”, itd. nie zawsze muszą brzmieć górnolotnie i mgliście, często dają się wyrazić w kategoriach najzupełniej praktycznych. Można by na przykład zadać pytanie, ile nauka łódzka zawdzięcza samochodowi LTN, a pytanie to nie będzie wcale pozbawione sensu. Samochód ułatwił obserwacje hydrobiologom i pozwolił przygotować bodaj jedną na świecie monografię biologiczną całej rzeki (Grabia). Samochód służył językoznawcom w badaniach dialektów województwa łódzkiego i kieleckiego, geografom, antropologom i archeologom. Dzięki niemu uczeń z zagranicy

wiadomości o dziejach ludów i kultur, od zamierzchłych czasów przedhistorycznych, do czasów najnowszych.

Kompletując materiał do tego artykułu, spotykałem się również z uwagami krytycznymi pod adresem Towarzystwa. Podstawowy zarzut można by sformułować w ten sposób: LTN nie jest jeszcze w pełni placówką, łączącą ludzi ze środowiska nauki. Zbyt mało tu spotkań problemowych, brak zaciętych dyskusji w szerokim gronie, zbyt niska wzajemna wymiana informacji. Między członkami nie nawiązały się więzi towarzyskie, które wszak najściślej cementują środowisko. Brak klubu, brak „półnaukowych” spotkań, na których np. fizyk dowiadywałby się o najnowszych odkryciach historyków, a językoznawca zapoznawałby się z podanymi w przystępnej formie zdobyczami chemii jądrowej.

LTN na pewno ma szansę stać się tego rodzaju placówką, ale — jak bywa nie tylko tutaj — w wirze codziennych obowiązków przepadają nieraz sprawy istotne na rzecz tych, które należy załatwić od ręki. Personel administracyjny Towarzystwa jest nadzwyczaj szczupły, wiele spraw musi przejmować na siebie społecznie pracujący członkowie zarządu. Lokal małej, bynajmniej niereprezentacyjnej, nie zachęca do częstego zaglądania na pleterko przy ul. Sienkiewicza 29.

Chciałoby się być optymistą i napisać bez zastrzeżeń o perspektywach rozwoju tej pozytywnej pla-

UCZONYCH

mogli niejednokrotnie oglądać w terenie stanowiska geografów i wykopaliska archeologów.

Jeśli dziś Ziemia Łódzka stanowi teren dość dobrze zbadany przez historyków, archeologów, geografów czy językoznawców, to nie małe w tym zasługi Towarzystwa. W niedawno sporządzonym wykazie publikacji naukowych LTN, dotyczących naszego regionu, figuruje 45 pozycji. A przecież był to teren leżący przez dziesięciolecia naukowym odłogiem, nie się tam odbywają, lecz z ideą organizowania stowarzyszeń miłośników nauki. Te piękne plany, wobec natężenia innych obowiązków, pozostają na razie jednak w sferze projektów.

Jeśli dziś Ziemia Łódzka stanowi teren dość dobrze zbadany przez historyków, archeologów, geografów czy językoznawców, to nie małe w tym zasługi Towarzystwa. W niedawno sporządzonym wykazie publikacji naukowych LTN, dotyczących naszego regionu, figuruje 45 pozycji. A przecież był to teren leżący przez dziesięciolecia naukowym odłogiem, nie się tam odbywają, lecz z ideą organizowania stowarzyszeń miłośników nauki. Te piękne plany, wobec natężenia innych obowiązków, pozostają na razie jednak w sferze projektów.

Biorąc pod uwagę duże zasługi LTN, wypada wierzyć, że trudna sytuacja należy do „przejściowych”, że kłopoty nie spowodują zahamowania wszechstronnej działalności Towarzystwa.

JULIAN BRYSZ

ZMIERZCHY i BLASKI

Dokończenie
ze str. 3

był smutnym dowodem kryzysu w domenie rozrywki. Nie uratował sobotniego wieczoru nawet sam Kazimierz Rudzki, któremu przemysłny reżyser programu podstawił wyraźną „nogę” — w postaci mocno nieudolnego naśladowcy wiechowskiego „Gieniusza”.

Co więc było dobrego w ubiegłym tygodniu telewizyjnym? Warszawski Teatr Telewizji, który przeżywa zdecydowany rozkwit, Jego „Ruchome piaski”, sztuka Piotra Chojnowskiego stała się wielkim wydarzeniem teatralnym (reżyseria Jana Bratkowskiego). W spektaklu błysnęła znakomita kreacja aktorska tak rzadko wykorzystywana w telewizji Anna Ciepliewska. Dla jednej Ciepliewskiej warto było przypomnieć Chojnowskiego. Znakomity był również — doskonale cyniczny — Władysław Krasnowiecki jako mecenas, świetna Ewa Bonacka, jako matka, Irena Horecka, jako ciotka. Chojnowski w interpretacji tych aktorów wypadł chyba bardziej drapieżnie od kulawej „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej.

Poza dobrym teatrem poniedziałkowym, jak zwykle nie zawiodło Kino Królików Filmów. Dostępnym było przygotowany program publicystyczny z Wrocławia „Dom prawdziwy”, o hotelach robotniczych. Po raz pierwszy zastosowano w nim żywy wywiad: telewizji z telewizją. Bardzo ciekawa konfrontacja, widać zresztą, że nie przygotowana uprzednio „na blachę”, że nie pod dyktando, i że nie z kartecki. Dobry był też magazyn publicystyki ekonomicznej, „Konтуры”, omawiający realizację uchwały Rady Ministrów i CRZZ. „Konтуры” — to ten typ programu, z którego nawet niezainteresowany problemami ekonomicznymi telewizyj może wiele skorzystać, to jest ten typ programu, który przekazuje konkretną wiedzę o aktualnych zjawiskach gospodarczych. Doskonali był — jedenasty z cyklu — program Grzegorza Lasoty „Portrety”, poświęcony życiu i twórczości Franza Kafki.

Nie zawiodł nas też „Miks”, wznowiony w ubiegłą niedzielę, po długiej, letniej przerwie, jak zawsze dowcipny, jak zawsze żywy, przy którym odpoczęliśmy po ciężkiej i niestrawnej „Niedzieli Biesiadzie”.

KOWALSKI



